

Dziś Zgorzelec, jutro Lesoto

czyli jak na krótką chwilę (znowu) znalazłem się w cieniu Księżyca

Tomasz Lewicki

Copyright © 2002, 2003 by Tomasz Lewicki

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment tej książki nie może być reprodukowany ani powielany w jakikolwiek sposób, zarówno w całości, jak i w fragmentach, bez wcześniejszej pisemnej zgody autora.

Książka pochodzi ze strony <http://stalker.republika.pl> i jest przygotowana specjalnie do czytania z ekranu monitora. Jeśli chciałbyś dostać wersję nadającą się do druku – napisz do mnie na adres stalker@poczta.onet.pl

Fotografie z tej wyprawy oraz zdjęcia zaćmienia znajdziesz na stronie Stowarzyszenia Astronomii Amatorskiej „Solaris” –

<http://www.solaris.z.pl>

*Książkę dedykuję moim Rodzicom za pomoc i wsparcie,
bez którego na pewno nie udałoby mi się
po raz drugi w ciągu zaledwie półtora roku
wyjechać na południową półkulę.*

Spis treści

1	Preludium	5
2	Dziś Zgorzelec...	6
3	... jutro Lesoto	10
4	„Wrota Raju”	13
5	Z poradnika młodego skauta, czyli jak nie spaść z konia w bezdenną otchłań	15
6	„Super 16”, czyli droga przez mękę	21
7	Zaklinacze deszczu	28
8	2,2%, czyli długi dzień za kółkiem	31
9	„The Gap”, czyli oceaniczny bidet	33
10	„Wioska przeklętych”	38
11	72 lata suszy, albo jak porwać córkę południowoafrykańskiego farmera	42
12	„Proszę Państwa, oto... Wonderrr Viecew!”	48
13	Trzy tygodnie bez chmur, rok bez deszczu	51

14 Dzień, który zaczął się dwa razy	62
15 Zwrotnik Koziorożca, równik, zwrotnik Raka...	67
16 ... czyli „dziś Pretoria, jutro Zgorzelec”	69

Rozdział 1

Preludium

Na poszukiwanie księżycowego (może powinienem raczej napisać Księżycowego, żeby podnieść jego rangę?) cienia wybraliśmy się tym razem większą ekipą niż półtora roku wcześniej. Oprócz członków „Solaris” (Toma, Qeda, Fachowego i mnie) w Airbusie A320 hiszpańskiej „Iberii” w zimny niedzielny wieczór 17. listopada miejsca zajęli także dwaj inni Polacy: znany podróżnik Rysiek Czajkowski oraz Grzesiek Lewocki. Zanim jednak spotkaliśmy się w Berlinie i wystartowaliśmy z lotniska Tegel, minęła prawie doba.

W wyludnionych Świebodzicach w niedzielę około godziny czwartej rano jedynymi przechodniami są koty, które – zdumione – na wszelki wypadek umykają na bezpieczną odległość przed dziwną postacią objuczoną dwoma plecakami i namiotami. Postać ta zmierza wyraźnie w kierunku dworca kolejowego. Jest jedynym pasażerem oczekującym na pociąg z Wałbrzycha do Wrocławia. Tak, ta postać to ja.

Na szczęście udało mi się przespać kilka godzin przed wyjazdem; czuję się wypoczęty i gotów do podróży na koniec świata. Rozklekotany pociąg ospale toczy się po szynach. ZarzYGane, zasypane potłuczonymi butelkami, zgniecionymi puszkami i kartonami po sokach owocowych perony zapadłych stacyjek są niemymi świadkami tego, co działo się na nich może dziś, może wczoraj... Wszechogarniający brud wzbudza we mnie melancholię. Czy zatęsknię za nim tam, w Afryce...?

Rozdział 2

Dziś Zgorzelec...

Z „Solarisowcami” spotykam się we Wrocławiu. Niemal jednocześnie pojawia się na peronie, na którym stoi już nasz pociąg. Ostatnie pożegnania, nieukrywana radość na twarzach – nareszcie jedziemy! Tyle o tym mówiliśmy, pisaliśmy, nawet śniliśmy... I w końcu robimy to! Jazda z Wrocławia do Zgorzelca nawet pociągiem pospiesznym wydaje się trwać pół życia. Opadają powieki tym, którym nie dane było wypaść się przed wyjazdem. Mnie pozostaje spoglądanie przez okno na budzącą się do życia Polskę. Nasz kraj żegna nas przepięknymi, soczystymi barwami świtu i wschodzącym Słońcem.

Docieramy do Zgorzelca. Pociąg rusza dalej, a my zarzucamy duże plecaki na grzbiety, mniejsze na brzuchy, namioty i inne akcesoria bierzemy w ręce i ziewając ruszamy za naszym potężnie zbudowanym, milczącym przewodnikiem, który obiecuje pokazać drogę do przejścia granicznego. Docieramy w końcu do białoczerwonych szlabanów. Szybka kontrola paszportów, podejrzliwe pytania celnika o prawdziwy cel podróży – i już wita nas Görlitz. Kolejny etap wędrówki kończy się na stacji kolejowej. Lekka dezorientacja: kasa zamknięta, pociąg odjeżdża za kwadrans, poza tym nie zgadza się godzina odjazdu, którą sprawdzałem wcześniej... W końcu kupuję bilet, podczas gdy chłopcy ganiają z wywieszonymi językami z peronu na peron. Sytuacja wyjaśnia się: będziemy jechać podstawionym przez niemiecką kolej autobusem; gdzieś po drodze naprawiane są tory.

Autobus jedzie powoli. Sprawdzająca bilety konduktorka omal nie ginie od spadającego jej na głowę naszego namiotu. Nawet młody Niemiec w koszulce z neo-nazistowskimi napisami przypatruje nam się nieufnie. „Wszyscy jesteście podejrzani”. Jazda usypia... Budzimy się, gdy nasz wehikuł zatrzymuje się na jakiejś małej, zapadłej stacyjce. Przesiadamy się do pociągu do Cottbus. Nareszcie można usiąść wygodnie. Brakuje tylko piwa, bo stolik do złudzenia przypomina

barowy. Czujne oczy śledzą poczynania staruszek za grubą taflą szkła. Żeby tylko nie zakosiły nam bagażu. . .

Cottbus. Przesiadka. Jedziemy. Zbliżamy się do stolicy Niemiec. Wskazówki odmierzają czas pozostały do odlotu. Do przesiadki w Madrycie. Do lądowania w Johannesburgu. Do zaćmienia. Do powrotu. . .

Zostawiamy bagaże w szafkach na słynnym dworcu ZOO. Raczej bez określonego celu chodzimy po ulicach i uliczkach Berlina. W końcu dokuczliwe zimno i zmęczenie zagania nas do zespołu ambasad krajów nordyckich, co z dumą obwieszcza Fachowy, wprowadzając nas do ciepłego, przestronnego wnętrza. Ostatnie kotlety i bułki przywiezione z ojczystego kraju znikają w naszych żołądkach.

Z Ryśkiem i Grześkiem spotykamy się w kolejce do odprawy bagażowej na lotnisku Tegel. Potem przejście przez bramkę wykrywającą metale. . . i okazuje się, że Qed jest potencjalnym terrorystą! Spryciarz chciał przemycić w bagażu podręcznym składany scyzoryk. A może to po prostu przeoczenie. . . ? Także jego masywne buty wzbudzają podejrzliwość celników. Na wszelki wypadek musi je zdjąć i oddać na pastwę maszyny prześwietlającej bagaż. Niekończące się kontrole i odprawy, po stokroć okazywane bilety, paszporty. . . Z ulgą lokujemy się we wnętrzu samolotu, który ociężale zaczyna toczyć się na pas startowy. Chwila niepewności, gwałtowne przyspieszenie – cud aerodynamiki nie przestanie nas fascynować chyba nigdy. Dziób ostro zadarty ku górze, lekki przechył na skrzydło. . . Obieramy kurs na zachód. Po trzech godzinach łagodnie siadamy na betonie madryckiego lotniska Barajas. Do planowego dwugodzinnego oczekiwania wkrada się spore opóźnienie. Niektórzy z nas usypiają na twardych fotelach poczekalni. Niepostrzeżenie nastaje poniedziałek, osiemnasty dzień listopada. W międzyczasie „Iberia” częstuje nas starymi bułkami z niemożliwie ciągnącym się między zębami mięsem oraz wodą, bez której przełknięcie tego dzieła sztuki kulinarnej byłoby więcej niż problematyczne.

I znowu pięćdziesiąt trzy kontrole, proszę pokazać bilet, proszę umieścić plecak na taśmie, proszę przejść przez bramkę, stop, co ma Pan w kieszeni, aha, portfel, dziękuję, proszę okazać paszport, kapitan wita Państwa na pokładzie, proszę nie używać podczas startu i lądowania żadnych urządzeń elektronicznych, kamizelki ratunkowe znajdują się pod fotelami, proszę zapiąć pasy i nie palić podczas lotu, dziękuję. . .

Świt zastaje nas nad Afryką. Budzę się z niespokojnego snu, usiłuję rozpro-

stować zastałe stawy. Qed i Fachowy śpią. Gdy budzą się, zamieniamy się miejscami. Teraz Tom i ja zasiadamy przy małym okienku. Połowę trasy z Madrytu do Jo'burga mamy za sobą. Pod nami rozlewisko rzeki Kongo, które nawet z wysokości dziesięciu tysięcy metrów robi ogromne wrażenie. Kilka godzin później zupełnie inny widok przykuwa naszą uwagę: jałowa pustynia Kalahari jest równie fascynująca.

Przed lądowaniem w Jo'burgu przebijamy się przez grubą powłokę deszczowych chmur. Od tej pory będą nam towarzyszyć niemal nieodłącznie, czego wątpliwym ukoronowaniem będzie dzień zaćmienia, ale nie uprzedzamy faktów.

W paszporcie pojawia się mała, ale ważna naklejka w kolorze zielonym: zezwolenie na pobyt w Republice Południowej Afryki. Niecierpliwie wypatrujemy naszych bagaży. Pierwsze straty – brakuje kostki do mocowania aparatu w pożyczonym od Piotrka statywie. Wymieniamy pierwsze sto dolarów, by mieć z czym wystartować ku przygodzie. Dolar jest słaby, i pozostanie taki do końca naszego pobytu.

Jeszcze w budynku portu lotniczego opada nas chmara naganiaczy, oferujących nam transport do miasta. Po długich targach i setkach zapewnień, że „u nikogo nie uzyskacie lepszej ceny niż u mnie” znajdujemy taksówkę zdolną pomieścić – z trudem – całą naszą brygadę i wszystkie bagaże.

W strugach deszczu wysiadamy przy głównym dworcu autobusowym i kolejowym, bagaże gromadzimy pod ścianą w remontowanym właśnie hallu. Tomek i Grzesiek ruszają na poszukiwanie czegokolwiek, co dowiezie nas szybko do Maseru – stolicy Lesoto, a przynajmniej do przejścia granicznego. Nasze obawy i powtarzane często opinie o Johannesburgu znajdują niespodziewanie szybko swoje potwierdzenie. Po kilkunastu minutach chłopcy wracają, dzieląc się z nami nowinami mrozącymi krew w żyłach. Tomek opowiada o nieprzyjemnej przygodzie, odkażając wodą utlenioną dłoń zranioną nożem czarnoskórego napastnika. Na szczęście opryszki okazały się być partaczami i nie udało im się zerwać z szyi Toma saszetki z pieniędzmi. Po krótkiej dyskusji na dalsze poszukiwania ruszam ja i Grzesiek. Uzbrojeni w kostki brukowe chodzimy po zakamarkach dworca, rozglądając się za większymi skupiskami busów. Nasze prymitywne uzbrojenie budzi ciekawość pewnej Hinduski o imieniu Razia, która wysłuchawszy opowieści o naszych problemach energicznie bierze sprawy w swoje ręce, prowadząc nas najpierw do kas kolejowych, a gdy tam okazuje się, że najbliższych pociągów

możemy oczekiwać dopiero jutro rano, idziemy coraz głębiej w gwarne ulice, wypełnione różnokolorowym i różnojęzycznym tłumem.

W końcu docieramy do miejsca, które zaczyna wyglądać obiecująco. Kilkadziesiąt busów zaparkowanych jeden przy drugim. Bez Razii nie poradziłibyśmy sobie tak łatwo i szybko. Byłaby znakomitym negocjatorem: wykrzykuje, przekomarzy się, nie dopuszcza do głosu kogoś, kogo uważa za zbyt mało ważnego z naszego punktu widzenia, targuje się, zbija cenę, ogląda z nami samochody. . . W końcu wybieramy jeden. Cena – 100 randów (około 10 dolarów) – wydaje nam się całkiem rozsądna, szczególnie że za dwudziestominutową podróż z lotniska zapłaciliśmy trzykrotnie mniej. Ostatnie ustalenia z kierowcą, wsiadamy. Razia jedzie z nami, instruując i strofując kierowcę. Domaga się od niego podania jej numeru telefonu i czegoś w rodzaju numeru służbowego, by dowiedzieć się, czy dowiózł nas na miejsce. Towarzyszy nam do chwili, gdy jesteśmy spakowani i siedzimy bezpiecznie w środku pojazdu. Rozstajemy się z nią serdecznie.

Rozdział 3

... jutro Lesoto

Podróż jest monotonna i nużąca. Jedziemy autostradą, czasem zatrzymujemy się, by zatankować paliwo lub coś zjeść. Po około sześciu godzinach, kilka minut przed północą docieramy do pustego o tej porze przejścia granicznego. Problemy napotykamy przy próbie uzyskania wizy lesotańskiej. Gdy Grzesiek dostaje pieczętkę w paszporcie, jesteśmy niemal pewni, że wszystko pójdzie gładko, jednak otyła Murzynka w okienku zaczyna się nad czymś głęboko zastanawiać. Po konsultacjach z innymi urzędnikami, ożywionymi obecnością o tak dziwnej godzinie niecodziennych gości z egzotycznego kraju, który początkowo trudno jest nawet zlokalizować na mapie świata, wiza Grześka zostaje anulowana. Wszyscy dostajemy tymczasowe pozwolenie na wjazd do Lesoto, niemniej jednak mamy polecenie zgłoszenia się z samego rana do biura imigracyjnego w Maseru i uzyskania tam wizy pobytowej. To wszystko, co możemy dziś zrobić. Jest krótko po północy z poniedziałku na wtorek. Szybko decydujemy się na ofertę dowiezienia nas do planowanego miejsca noclegu – Anglican Training Centre. Po dłuższej chwili dzwonienia i negocjowania z zakręconym jak słoik dozorcą wchodzimy i błyskawicznie rozbijamy namioty. Jedynie dla zasady zażywamy krótkiej toalety wieczornej i zmordowani wsuwamy się do śpiworów.

Budzi nas ostre Słońce i upał. Po śniadaniu dzielimy role: Rysiek zostaje, by pilnować naszych namiotów, a nasza piątka wyrusza do miasta w poszukiwaniu Immigration Office. Gdy już docieramy do celu, pojawia się następna przeszkoda. Osoba odpowiedzialna za przyznawanie wiz jest bowiem nieobecna. Mrozi nas wysokość opłaty za wydanie wizy – 300 maloti – co stanowi kwotę większą niż koszt wizy południowoafrykańskiej. Mała dygresja na temat lesotańskiej waluty: „maloti” to liczba mnoga od „loti”. Maloti jest sztywno związane z randem, poza tym środki płatnicze potężnego sąsiada są powszechnie akceptowane.

Wypełniamy wnioski wizowe i zostawiamy je Grześkowi, który ofiaruje się załatwić resztę formalności, mając w dodatku nadzieję na załatwienie wiz bez opłat na zasadzie hasła „Polska w Unii Europejskiej”. My tymczasem idziemy szukać kogoś, kto zechce zawieźć nas na południe kraju, do Malealea w górach Thaba – Putsoa.

Słońce wisi prawie w zenicie, zalewając ulice bezlitosnym żarem. Już po pierwszym dniu będziemy spieczeni, a skóra będzie schodzić z nas płatami, ale to nie będzie koniec słonecznych tortur. Po długim błędzeniu udaje nam się znaleźć bank, w którym dokonujemy wymiany następnej porcji dolarów. Trwa to długo, formalności jest mnóstwo, potrzebne są dowody tożsamości, numer paszportu, coś jeszcze. . . Koniec końców wychodzimy z portfelami wypchanymi randami. Spacerując po Maseru czuję się tak bezpiecznie jak w Lusace półtora roku wcześniej; atmosfera jest zupełnie inna niż w Jo’burgu. Próbuje nagabywać przechodniów o dworzec autobusowy, który mamy zaznaczony na planie, ale nie potrafimy zlokalizować go w terenie. Zakłopotani ludzie pokazują najróżniejsze kierunki, śmiesznie przekrzywiają głowy, próbując na chybił trafił zorientować plan według kierunków świata. Wygląda to tak, jakby w ogóle nie znali swego miasta. W końcu, zrezygnowani, zaczepiamy dwóch młodych policjantów, ubranych w grube wełniane swetry i w odblaskowy zielony kubraczek. Celowo nie piszę o nim w liczbie mnogiej, gdyż jeden z funkcjonariuszy ma na sobie kamizelkę, a drugi rękawy od tejsze kamizelki. „W ten sposób pewnie łatwiej im się znaleźć w tłumie”, żartujemy. Mnóstwo ludzi poubieranych jest tak, jak gdyby temperatura była grubo poniżej zera, podczas gdy my ledwo żyjemy. Policjanci zastanawiają się długo, spoglądają to na plan, to na siebie, to na przechodniów, jakby od nich oczekiwali ratunku. Wymieniają ze sobą uwagi w języku, którego nie rozumiemy ani w ząb. Jeden z nich, wyposażony w krótkofalówkę, obgryza antenę. Obracając przewodnik do góry nogami pozwala urządzeniu zwisać swobodnie. Powstrzymuję się, by nie parsknąć śmiechem, tak komiczny wydaje mi się ten widok. Minuty mijają. Kiedy jesteśmy już zdecydowani podziękować i szukać dalej na własną rękę, policjanci nagle robią w tył zwrot i idą w nieznanym bliżej kierunku. Spoglądając po sobie ruszamy za nimi. Idziemy w ich tempie, noga za nogą, niespiesznie. Pozdrawiają ich wszyscy dookoła; oni uprzejmie i z powagą godną ich urzędu odwzajemniają powitania.

Mijamy posterunek policji. „No, teraz nas zaaresztują”, śmiejemy się. W koń-

cu jednak docieramy do placu targowego (trudno odróżnić targowisko od ulicy, niemal całe Maseru to jeden wielki bazar, podobnie jak większość afrykańskich miast). Tam nasi przewodnicy wdają się w dłuższą pogawędkę z mężczyznami stojącymi obok jednego z kilku niebieskich busów. Rozmawiamy z nimi także my. Koniec końców dochodzimy do porozumienia: zawiozą nas do Malealea za 40 randów od osoby. Jesteśmy mile zaskoczeni, spodziewaliśmy się wyższej ceny. Szybko dobijamy targu i umawiamy się na spotkanie w Anglican Training Centre za kilka godzin. Teraz szybko do biura imigracyjnego i spakować się!

Gdy już jesteśmy pewni, że mamy legalne wizy, a nasze bagaże czekają tylko na umieszczenie ich w samochodzie, raz jeszcze wyruszamy do miasta. Wypadalo by coś zjeść, trzeba także zrobić jakieś zapasy na wieczór i jutrzejszy poranek. Niezawodny „Shoprite” zaopatruje nas we wszystko, czego potrzebujemy, a towarem pierwszej potrzeby jest w tej chwili woda, dużo wody.

Po drodze wchodzimy jeszcze do sklepu z obiecującym szyldem „Castle”. Tak właśnie nazywa się najbardziej znane południowoafrykańskie piwo. Skoro jednak jesteśmy w Lesoto, dobrze byłoby spróbować jakiegoś lokalnego napitku. I owszem – zimne „Maluti” smakuje równie dobrze i doskonale gasi pragnienie. Przyjazny właściciel zaprasza nas na zaplecze, przedstawia swoją córkę i wnuczkę, zabawia rozmową, wreszcie zostawia samych wśród skrzynek pełnych piwa. . . Niezwykle zaufanie, w Polsce chyba nie do pomyślenia w takiej sytuacji. Niestety, nie zabawiamy tam długo, za chwilę wyjeżdżamy.

Rozdział 4

„Wrota Raju”

Około piętnastej pakujemy się do busa i wyruszamy na południe. Przed nami półtorej godziny jazdy i około 80 kilometrów do pokonania. Dopiero w pełnym blasku dnia widać piękno tego kraju. Na przedmieściach stolicy zatrzymujemy się na chwilę; kierowcy umieszczają pod samochodem zapasowe koło.

Ruszamy dalej. Po kilkudziesięciu minutach zjeżdżamy z asfaltu na nieutwardzoną żwirową górską drogę. Mijamy małe osady, których życie toczy się wzdłuż głównej ulicy z kilkoma sklepami. Osuwiska brązowej ziemi odsłaniają, niczym wiercenia geologiczne, równiutko poukładane warstwy skał.

Na wysokości 2001 metrów nad poziomem morza mijamy niepozorną tablicę z napisem „Gates of Paradise Pass” – oto tytułowe „Wrota Raju”. Chwilę później jesteśmy już u celu, w Malealea Lodge. Przed bramą mijamy zagrodę dla kilkunastu koni. Tubyłcy pozdrawiają nas przyjaźnie.

Okazuje się, że kierowca miał nosa biorąc zapasowe koło – gdy wysiadamy, przebita opona wypuszcza z siebie resztki powietrza. Po uregulowaniu należności za przejazd zbieramy nasze bagaże i kierujemy się na wskazane przez uprzejmego właściciela miejsce, w którym szybko stają nasze namioty. Po krótkim odpoczynku i pseudokolacji (fasola z puszki i chleb, popijane wodą mineralną) kupujemy piwo i zasiadamy niedaleko namiotów. Od czasu do czasu kropi drobny deszcz, słychać odległą burzę, zachmurzone niebo rozświetlają liczne błyskawice i wschodzący w pełni Księżyc. Dziś obejrzymy – o ile się rozpozgodzi – półcienio- we zaćmienie naszego naturalnego satelity.

Tymczasem wyruszamy na nocny spacer po okolicy. Przypadkowo trafiamy nawet na miejscowe wysypisko śmieci i na budowę nowych domków dla gości Malealea Lodge. Po powrocie prawie wszyscy kładą się spać. Na straży zostaje tylko Qed. Po pewnym czasie z Lariamowego snu budzi mnie jego nawoływanie.

Z trudem, ale daje się namówić na wyjście z ciepłego śpiwora.

Na tarasie restauracji siedzi grupka ludzi z różnych stron świata: barman z Lesoto (już po pracy), dziewczyna i dwóch chłopaków z różnych części RPA, Niemiec, Anglik i my – dwaj Polacy. Rozmawiamy, czekając na zaćmienie i rozpozdrożenie, które jednak nie ma zamiaru nadejść. Około drugiej w nocy rezygnujemy z czekania na cud.

Rozdział 5

Z poradnika młodego skauta, czyli jak nie spaść z konia w bezdenną otchłań

Kilka godzin później – pobudka. Dziś czeka nas emocjonująca (jeszcze nie wiemy, jak bardzo) przygoda – pierwszy dzień konnej wyprawy w *interior*. Przed namiotami leży już stos juków, do których wędrują nasze śpiwory, jedzenie i odrobina czystych ubrań. Długie spodnie, mocne buty to podstawa; jasny ręcznik osłaniający ramiona zakładam na głowę, do tego czapka z daszkiem, by ręcznik nie uleciał w siną dal, plecak ze sprzętem foto na plecach – jestem gotów na przyjęcie wyzwania.

Na koniu siedziałem raz w życiu, i to dobre dziesięć lat temu, przez około kwadrans. Jak mówiło się w wieku szczenięcym, „to się nie liczy”, mogę zatem z czystym sumieniem powiedzieć, że wsiadam na to pożyteczne zwierzę po raz pierwszy. Konie w Lesoto są stosunkowo niewielkie, krępej budowy, ale silne i wytrzymałe. Jest to wynik krzyżowania między mniejszymi końmi jawańskimi a ich większymi europejskimi krewniakami (tak przynajmniej twierdzi przewodnik „Lonely Planet”; wielbiciel koni wyśmieją mnie zapewne w głos za tak niefachowe określenie). Te, których dosiadaliśmy, nie należały do najbardziej uległych, niemniej jednak zazwyczaj słuchały naszych – czasem rozpaczliwych – poleceń, czego najlepszym dowodem jest fakt, iż piszę niniejszy tekst własnymi rękoma.

Raźno wskakuję na konia i z wysokości jego grzbietu przypatruję się, jak radzą sobie moi współtowarzysze. Całkiem nieźle: Fachowy już w siodle, Qed także, jedynie Tom protestuje twierdząc, że jego koń jest dla niego zbyt niski.

Po kilku minutach wyruszamy w drogę. Naszymi przewodnikami są dwaj czarnoskórzy młodzieńcy z ludu Basoto, otwierający i zamykający szereg. Nasza ekspedycja prezentuje się całkiem okazale: ośmioro ludzi na koniach plus dwójka

zwierząt specjalnie do transportu bagażu. Początkowo konie idą stępą po szerokiej czerwonej drodze. Czasem tylko któryś z nich próbuje wysforować się przed pozostałe albo obiera zupełnie inną drogę. Wtedy wychodzą na jaw wzajemne animozje: krótkie kłapnięcia potężnymi szczękami albo ostrzegawcze prychnięcia przywołują niecierpliwych do porządku. Jeśli to nie pomaga, interweniują przewodnicy, zawsze z powrodem. Uczę się pociągać lejce tak, by koń wykonywał moje zamierzenia. Z siodła wszystko wygląda inaczej, ciekawiej. Odzywa się we mnie krew kawalerzysty. Pieszczotliwie głaszczę konia po szyi i grzywie. „Eech, życie jest piękne. . .”, myślę, uśmiechając się do oświetlonych Słońcem gór i swoich kolegów.

Po godzinie z kawalkiem i krótkiej przerwie na odpoczynek zbliżamy się do krawędzi głębokiego urwiska. W dole błyszczy wstęga rzeki. „Pięknie” – myślę po raz sto dwudziesty dziewiąty. Dopiero po chwili dociera do mnie, że otwierający kawalkadę przewodnik i pierwszy koń z jukami zaczynają schodzić w przepaść. Robi mi się trochę nieswojo, szczególnie że mój koń zaczyna coraz częściej wykazywać oznaki zniecierpliwienia. Nieuchronnie zjeżdżam z bezpiecznej, równej i szerokiej drogi. Daleko w dole zauważam grupę ludzi. „Skoro im się udało, to my też damy radę. Raz kozie śmierć” – przebiega mi przez myśl i ruszam za moimi kolegami. Cała odwaga opuszcza mnie, gdy orientuję się, po jak wąskiej ścieżce przyjdzie mi zjeżdżać. Ścieżka to zresztą chyba zbyt mocne słowo dla tego szlaku: kamień na kamieniu, w szerszych miejscach osiagająca może metr, a najczęściej o wiele mniej. Konie ślizgają się na ostrych kamieniach, wpadają na siebie. Dopiero teraz z całą jasnością dochodzi do mnie, jak daleko jest do ziemi, jak strome jest zbocze, jak niepewnie czuję się na końskim grzbiecie. Nie mam zbyt tęgiej miny – zresztą nie tylko ja. Świadomość, że wszyscy mają pełno w gaciach trochę mnie uspokaja. Początkowo próbuję kierować moim wierzchowcem tak, jak wydaje mi się to odpowiednie, ale po pewnym czasie, gdy zwierzę kilka razy niebezpiecznie przechyla się w bok i ślizga, a nawet skacze gwałtownie, powodując u mnie żywsze bicie serca, dochodzę do wniosku, że koń tak samo jak ja chce wyjść cało z tej przygody; zresztą dla niego – w przeciwieństwie do mnie – ta trasa to zapewne nie pierwszozna i że pozwolę mu samemu wybierać sobie drogę. Oddycham głęboko i lekko popuszczam trzymane kurczowo lejce. Niemal natychmiast odczuwam poprawę. Koń ślizga się co prawda, ale mam wrażenie, że panuje nad swoimi ruchami o wiele lepiej, niż wtedy, gdy nieporadnie usiłowałem

mu pomagać.

Dalsza część tego odcinka drogi jest niezwykle emocjonująca. Całą uwagę skupiam na śledzeniu, co robi mój koń i jak radzą sobie inni. Żałuję, że nie mogę zrobić zdjęcia, ale z drugiej strony cieszę się, że aparat jest schowany w miarę bezpiecznie. Gdybym miał go na wierzchu, zapewne bardziej drżałbym o niego niż o siebie. Skoro przekonałem siebie samego, że ze zdjęć nici i minął pierwszy lęk, odprężam się nieco i zaczynam z pewną przyjemnością rozglądać po otoczeniu. Pokonaliśmy już większą część drogi ku rzece; zaczynam wierzyć, że wyjdę cało z opresji.

W końcu docieramy do dna kanionu, tworzącego niewielką kotlinę. Z ulgą zsiadam z konia i puszczam go wolno. Patrzymy po sobie z chłopakami; nasze miny mówią nam wszystko, rozumiemy się bez słów. Fachowy sprawdza wskazania GPS-u: w pół godziny pokonaliśmy różnicę 150 metrów – całkiem niezłe jak na pierwszy raz. I w dodatku żyjemy!

Chowamy się w cieniu. „Piknik pod wiszącą skałą” – teraz możemy już żartować. Powyżej nas pasą się owce i kozy; mali pasterze, którzy u nas chodzili by do drugiej lub trzeciej klasy podstawówki bawią się po drugiej stronie rzeki, przypatrując się nam z ciekawością. Fachowemu udaje się wyciągnąć od nich figurkę świnki za rozwijaną dwumetrową miarkę budowlaną. Świnka jest częścią całej glinianej menażerii, własnoręcznie wykonanej przez chłopców.

Ostatnie zdjęcia, głęboki wdech – i znowu w siodle. Ruszamy ostro w górę. Niemal na samym początku następuje pierwsza naprawdę groźna sytuacja: koń Tomka ponosi i niebezpiecznie przechyla się w bok, wprost na mnie. Nawet gdybym zdążył zareagować, i tak nie miałbym dokąd uciec; wjeżdżamy bowiem po olbrzymiej, mocno nachylonej, niemal gładkiej skalnej płycie, po której końskie kopyta ślizgają się prawie jak po lodzie. Koń przykłęka, mój też wygląda na spłoszonego, ale kończy się na szczęście tylko na strachu.

Jedziemy wśród soczyście zielonych pastwisk. Po pewnym czasie znowu zaczynamy pokonywać stromiznę, ale od chwili gdy zmieniłem konia na bardziej posłusznego i gdy jeden z przewodników nauczył mnie, jak kierować zwierzęciem, czuję się o wiele pewniej. Docieramy do szerokiego traktu, serpentyną schodzącą ku wiosce. Nasze konie mają jednak pewną irytującą cechę: chociaż droga ma dobre pięć metrów szerokości, zwierzęta idą przy zewnętrznej krawędzi. Wszelkie próby skłonienia ich, by szły bardziej „normalnie”, z góry skazane

są na niepowodzenie – nasze wierzchowce same wracają do szeregu, krocząc powoli na granicy stromego zbocza. Po drodze machają do nas dzieci, pozdrawiają dorośli. Zatrzymujemy się przy sklepie, kupując krem mający nas ochronić przed ostrym Słońcem. Jesteśmy przecież na wysokości prawie dwóch kilometrów nad poziomem morza; niebezpieczna jest nie tyle temperatura, co zwiększona dawka promieniowania ultrafioletowego. Nasza skóra odzwyczała się już od Słońca i teraz reaguje niemal alergicznie: zaczerwienieniem i bolesną, swędzącą wysypką. Najbardziej obawiam się o swoje dłonie; na wszelki wypadek smaruję je grubą warstwą brązowej mazi, bardziej niż krem przypominającej masło kakaowe. Wychylamy po jednym „Maluti” dla kurażu, robimy zapasy wody i... znowu na koń, panowie!

Szeroka bita droga niepostrzeżenie zmienia się w coraz węższą i mniej równą, aż w końcu wchodzimy na stromą kamienistą ścieżkę, bardzo podobną do tych, jakimi schodziliśmy wcześniej. Niemniej jednak jazda w górę wygląda mniej groźnie niż zjeżdżanie ze stromego stoku. W końcu mogę delektować się widokami precudnej urody, których nie podejmuję się opisać słowami; ich bladym odzwierciedleniem mają być zdjęcia, które mam odwagę robić z grzbietu mojego wierzchowca: małe wioski zagubione w ogromie gór, zerodowane szczyty o najdziwniejszych kształtach, surowe, ułożone warstwowo brązowe skały i zieleń łąk z pasącymi się na nich kozami, gra światła i cieni w załamaniach terenu, a nad tym spokojnym światem błękitne niebo z białymi niczym na kiczowatych pocztówkach, puszystymi barankami.

Po długiej i spokojnej wędrówce stajemy na przełęczy. GPS pokazuje 2380 metrów. Nieźle – w ciągu kilku godzin pokonaliśmy dwie doliny rzeczne i niemal kilometrową różnicę poziomów. Krótki odpoczynek, na gorąco robimy notatki – jesteśmy ledwie kilkanaście minut od celu. I wreszcie jest – kilka okrągłych tradycyjnych chat zbudowanych z gliny, zwanych rondawelami. W jednej z nich spędzimy noc. Ale teraz, korzystając z ostatnich chwil światła rzucanego przez nisko wiszącą Gwiazdę Dzienną idziemy przez łąki do nieodległego wodospadu na rzece Ribaneng. Po drodze podziwiam fantastyczne zwietrzeliny, pięknie wrosnięte w kamienie minerały... Mam wrażenie, że geolog znalazłby tu prawdziwy raj. Wspaniałe widoki wierzchołków oświetlonych zachodzącym Słońcem budzą we mnie zadumę nad spokojnym życiem, z dala od niepotrzebnych trosk naszego, tzw. cywilizowanego, świata zachodniego. Teraz rozumiem, dlaczego ludzie

w wielu rejonach naszej planety całe życie spędzają nie dalej niż kilka, kilkanaście czy kilkadziesiąt kilometrów od miejsca, w którym przyszli na świat. Czego więcej można żądać od życia, gdy mieszka się w miejscu napawającym takim spokojem...?

Daję się wciągnąć w ten rytm. Niespiesznie wracam do chaty, zatrzymując się często po to tylko, by podziwiać. Widok bezimiennej góry, za którą zachodzi Słońce, staje się dla mnie symbolem. Siedząc przed glinianą chatą rozmawiamy i przypatrujemy się ciemniejącemu niebu, na które powoli wspina się Księżyc. Na chwilę schodzę do młodej kobiety przygotowującej wieczorny posiłek. Małeńkie dzieci przypatrują mi się z wielkim zaciekawieniem, ale ich oczy zamykają się ze zmęczenia. Krowy same wchodzą do przemyślnie skonstruowanej zagrody. Echo jeszcze długo niesie uspokajającą melodię graną przez ich dzwonki. Czas na odpoczynek...

Kładziemy się na materacach rozłożonych przez nas wprost na klepisku, po którym chwilę wcześniej chodziły jeszcze kury. Zasuвам zamek śpiwora i po chwili Morfeusz zabiera mnie do swojego królestwa.

Budzimy się wcześniej rano. Szybko zwijamy śpiwory i wybieramy się ku rzece, by umyć się w orzeźwiająco zimnej i krystalicznie czystej wodzie. Po powrocie pakujemy nasz skromny dobytek do juków, by po wymianie pożegnań z gościnnymi mieszkańcami wsiąść na koński grzbiet i ruszyć w drogę powrotną do Malealea.

Przekonujemy naszych przewodników, że nie chcemy wracać tą samą trasą; zgadzają się. Konie wiedzą chyba, że idą do domu, bo im dłużej trwa wędrówka i im bliżej są domu, z tym większymi oporami pozwalają niedoświadczonym jeźdźcom panować nad sobą. Pozwalają sobie czasem nawet na krótki galop, który dla Tomka omal nie kończy się katastrofą. Jego koń ponosi, z rozpiętego w pędzie plecaka wypadają obiektywy i drobny sprzęt. W pogoń rusza jeden z przewodników i ujarzma niepokorne zwierzę.

I znowu mijamy sklep, wioski mniejsze i większe, przypatrujemy się budowle dwóch mostów... Słońce jest trudne do zniesienia, poparzona skóra swędzi i sprawia ból. Owijam dłonie koszulką Fachowego, jakkolwiek na niewiele to pomaga. Konie zatrzymują się przy niemal każdym strumyczku i chciwie chlepcą choć odrobinę wody.

Ponownie przekraczamy rzekę Makhaleng, schodząc ku niej wąską, krętą, ka-

mienistą serpentyną. Mój koń potyka się często, postanawiam mu ulżyć i idę pieszo, prowadząc go za lejce. Posłusznie czeka, gdy robię zdjęcia lub gdy czekam na Ryśka, którego podróż najwyraźniej męczy. Docieramy do rzeki mocno spóźnieni w stosunku do naszych kolegów. Tam napotykam niecodzienny widok: Qed stoi niedaleko brzegu po kolana w wodzie. Jego koń postanowił napić się wody tak sprytnie, że niefortunny jeździec w jednej chwili znalazł się w rzece tak, jak siedział: w ubraniu i butach. Qed nie wygląda jednak na rozszluszczanego, śmieje się nawet. Wdajemy się w rozmowę z trzema chłopcami siedzącymi na brzegu rzeki, później dołączamy do naszych towarzyszy, którzy kilkaset metrów dalej chronią się w cieniu skały. Odpoczynek trwa prawie godzinę, po nim zaczyna się ostatni akord naszej dwudniowej wyprawy. Ponownie pokonujemy strome zbocze, które wczoraj przyprawiało mnie o drżenie serca, ale tym razem posuwamy się w górę – i idzie nam to całkiem zgrabnie, chociaż konie są już wyraźnie zmęczone.

Ostatnia godzina to szeroki, piaszczysty trakt. Zeskakuję z mojego wierzchowca i prowadzę go za lejce. Ostatnie podejście pod niewielką górkę – jesteśmy w Malealea.

Po zakupach, kąpieli i kolacji przysłuchujemy się występom wokalnemu grupy miejscowych dzieci. Po przedstawieniu zakończonym odśpiewaniem i odegraniem na skleconych dosłownie z byle czego – puszek po farbie, stalowych beczek, kawałków starych opon – instrumentach lesotańskiego hymnu państwowego wrzucamy kilka maloti do podstawionego koszyka. Później, długo w nocy siedzę z Qedem i delektujemy się ostatnimi chwilami w Malealea... oraz miejscowym piwem. Naszą uwagę przykuwa jasny Księżyc, będący dwa dni po pełni. Przypomina nam – może przez swoją orientację na niebie, inną niż w Polsce – słynną kryształową czaszkę ludzką znaną w Andach.

Rozdział 6

„Super 16”, czyli droga przez mękę

Budzimy się, gdy Słońce zamienia wnętrze namiotu w piec. Po śniadaniu i pakowaniu mamy jeszcze wolną chwilę, by usiąść w cieniu i wpisać do dziennika kilka uwag i spostrzeżeń. W południe czekamy już przy bramie na busa, który ma zawieźć nas do Maseru. Ten, który stoi, jest zapchany po brzegi – nie ma szans, byśmy zmieścili się w nim wszyscy.

Skwar jest nie do wytrzymania, szukamy cienia, co nie jest łatwe zważywszy na fakt, że pałaca gwiazda wisi niemal dokładnie nad naszymi głowami. Bus odjeżdża, zrezygnowani odchodzimy, gdy nagle jeden z przypatrujących się nam mieszkańców zaczyna coś wykrzykiwać. Patrzę na niego, nie rozumiejąc. Mam nieskomplikowane myśli – o cieniu i chłodnej wodzie, bo ta, której resztki właśnie wysączam, ma temperaturę ciepłej zupy i z trudem daje się przełknąć; jedyną jej dodatnią cechą jest fakt, że nadal jest mokra i przynosi chwilową ulgę.

Człowiek nie przestaje krzyczeć, próbując zwrócić na siebie moją i Grzeška uwagę. Przymrużając oczy patrzę tam, gdzie wydaje mi się, że pokazuje jego wyciągnięta ręka. Ożywiam się – w oddali widać kłęb kurzu i... tak, to samochód jadący w naszą stronę! Jesteśmy uratowani...

Chłopcy, którzy zdążyli dotrzeć pod dający złudne poczucie osłony przed bezlitosną spiekotą blaszany dach sklepu, ociążale zarzucają na plecy swe brzemie i idą ku nam. Po chwili jedziemy już do Maseru. Okna otwarte na oścież wpuszczają do wnętrza ożywcze powiewy.

Mam wrażenie, że podróż w tę stronę trwa krócej. Już jesteśmy przed budynkami Anglican Training Centre; rozliczam się z kierowcą, podczas gdy moi współtowarzysze wypakowują plecaki. Po krótkim odpoczynku dzielimy role: czterech wyrusza do centrum w poszukiwaniu transportu do Durbanu i po zakupie, ja i Qed zostajemy do pilnowania naszego dobytku. Fachowy i Tom wracają

nadspodziewanie szybko, przynosząc pocieszające wieści: o dwudziestej wyjeżdżamy do Durbanu za świetną cenę – 120 randów „od łebka”. Uspokojeni takim obrotem sprawy, zluzowani przez chłopaków, teraz my po raz ostatni idziemy do miasta, by coś zjeść, zrobić małe zapasy na nocną drogę, a przede wszystkim – by poszukać miejsca, w którym można skorzystać z Internetu. Karta pamięci w moim aparacie jest zapchana w połowie; jeśli chcę skorzystać z aparatu podczas dalszego pobytu, muszę ją szybko wyczyścić.

W „Shoprite” kupujemy kurczaka z frytkami i udajemy się do „naszego” znajomego sklepikarza. W restauracji, która jest nią tylko z nazwy, przylegającej bezpośrednio do sklepu stajemy w kolejce po zimne piwo. Lokal jest wypełniony ludźmi, w Polsce powiedzielibyśmy na niego „mordownia”. Nie widać jednak, pomimo dużej ilości pustych butelek, którymi zastawione są stoły, by ktokolwiek był pijany. Nikt nas nie zaczepia, wprost przeciwnie: czujemy się jak u siebie. Klimat panujący we wnętrzu przypomina znany mi doskonale bar „Pod Dzwonkiem” we Fromborku, w którym pani Halina nalewa najlepsze piwo w tej części Galaktyki. Różnice między „Dzwonkiem” a wyszynkiem, w którym obecnie gościmy są jednak co najmniej dwie, zauważalne na pierwszy rzut oka. Po pierwsze, gośćmi fromborskiej piwiarni są biali amatorzy złocistego trunku. Po drugie, w „Pod Dzwonkiem” nie sprzedaje się mięsa. W ledwo dyszących chłodniach leży ogromna ćwierćtusza wieprzowego mięsa. Obserwujemy ją przez szybę niczym muzealną atrakcję. Starszy człowiek podający piwo klientom przeciska się obok znacznie od siebie młodszego, rosnącego mężczyzny, obsługującego mechaniczną piłę do mięsa. Zgrzyt stali po kości przeplata się z gwarem panującym w knajpie i zmusza nas do podniesienia głosu, a nawet pokazywania na palcach, co i ile chcielibyśmy dostać. Razem z piwem wydaje nam wymięte, zatłuszczone kartoniki – dowody uiszczenia kaucji za butelki.

Nareszcie możemy stanąć w cichym zakątku sklepu i łakomie dobrać się do drobiowych zwłok i niedosmażonych frytek. Zimne „Castle” pierwszorzędnie gasi pragnienie. Zabawiamy przy nim dłuższą chwilę, stając się nieukrywanym obiektem ciekawości miejscowych. Po skończonym posiłku żegnamy się z szefem interesu i wprost z chłodnego wnętrza wychodzimy na nasłonecznioną patelnię. Towarzyszy nam poznany chwilę wcześniej policjant w cywilu. Po kilkunastu minutach żegnamy się z nim i wchodzimy do budynku, na którego ścianie zauważyliśmy tablicę „Internet Access”.

Pod ścianami stoi kilka komputerów podpiętych do sieci, na półkach zestawy gotowe do sprzedania. Port USB? Uprzejma młoda kierowniczka wpuszcza nas do niewielkiego biura, w którym laserowa drukarka i skaner zgodnie sąsiadują z okazałymi zapasami środków czyszczących... Niestety, napotykam na problemy sprzętowe; nie mogę zainstalować aparatu. Qed korzysta z zasobów sieci, która działa zaskakująco szybko. Po około pół godzinie płacimy za baterie, dziękujemy uczynnej dziewczynie i wychodzimy.

Jest już późno, Słońce niedługo zajdzie, czas wracać do naszych kolegów. Po drodze odwiedzamy jeszcze skwer z pomnikiem i tablicami, na których wyryte są nazwiska tych, którzy zginęli podczas I wojny światowej. Pośród brzęczących z angielska imion i nazwisk są i takie, które ewidentnie wskazują na tubylcze pochodzenie żołnierzy. Wiązanki lekko przywędłych kwiatów leżące na cokole skrywają wstęgi z napisami świadczącymi o ofiarodawcach: ambasady Wielkiej Brytanii, Australii i innych państw brytyjskiej Wspólnoty Narodów, konsulat Chin... Chwilę błądzimy. Próbuje nam pomóc żołnierz pilnujący okolonej drutami kolczastymi agendy Organizacji Narodów Zjednoczonych, pytamy dzieci, w końcu kobiety idącej ulicą... Woła swoją nastoletnią wnuczkę, która w milczeniu wskazuje nam drogę. Jest za kwadrans dwudziesta, bus już stoi na dziedzińcu Anglican Training Centre.

W środku trwa ożywiona dyskusja między chłopakami a dwoma czarnoskórymi mężczyznami. „Jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze” – mówi stara maksyma, która sprawdza się tu i teraz. Okazuje się, że kierowca żąda wyższej zapłaty za kurs. Jesteśmy w sytuacji podbramkowej, nasze ostatnie słowo to 160 randów. Umowa stoi. Pakujemy się do samochodu. Jednak to nie koniec naszych kłopotów, właściwie dopiero się zaczynają. Najpierw jedziemy do centrum miasta, gdzie do naszego pojazdu zostaje dołączona przyczepa podobna do tych, jakimi polscy rolnicy wożą zwierzęta na targ. W przyczepie lądują nasze plecaki i namioty; robimy miejsce dla innych pasażerów. Coś się jednak nie zgadza: samochód (niemal wszystkie busy, nieważne jakiej są marki, mają w różnych miejscach umieszczony tajemniczy napis „Super 16” – stąd nazwa tego rozdziału mojej opowieści) jest przewidziany na 11 pasażerów oraz kierowcę, jest nas sześciu, tymczasem miejsca zajmują kolejni chętni. Grzesiek głośno protestuje, ale kierowca i jego szef są niewzruszeni. My rezygnujemy z dyskusji wiedząc, że i tak niczego nie wywalczymy. W busie marki „Toyota” zasiada zatem piętnaście osób.

Nie ma co ukrywać – jest ciasno. Wątpliwym pocieszeniem ma być świadomość, że podróż potrwa „jedyne” siedem godzin. Ale kto powiedział, że przez cały czas wszystko ma iść jak z płatka. . . ?

W dodatku okazuje się, że wyprawa ośmiorga czarnych podróżnych ma aspekt wyłącznie gospodarczy: u swego wielkiego sąsiada mają zamiar zrobić zakupy towarów poszukiwanych w Lesoto, by sprzedać je w Maseru z trzykrotnym przebićciem. O handlowej zaradności sześciu kobiet i dwóch młodych mężczyzn świadczy fakt, że niemal wszyscy posiadają telefony komórkowe, co w krajach afrykańskich jest oznaką względnej zamożności. Granicę przebywamy w dosyć dziwny sposób. Najpierw kierowca poleca wszystkim wypełnić listę pasażerów, po czym przed samym przejściem granicznym wysiadamy z samochodu, podchodząc pieszo do odprawy, podczas gdy kierowca – praktycznie bez kontroli – przejeżdża przez przejście. Pięć minut później jesteśmy na terytorium RPA.

Jedziemy dosyć szybko, podróż jest męcząca, szczególnie gdy próbujemy zasnąć. Niewygodne siedzenia, ciasnota, zaduch, zmęczenie spowodowane emocjami ostatnich dni i faktem, że niemal od chwili opuszczenia Polski wciąż jesteśmy w podróży – wszystko to złoży się na konflikt, jaki za kilka godzin wybuchnie między nami a przedsiębiorczymi Lesotańczykami. Teraz jednak jeszcze o tym nie wiemy; usiłujemy przespać jak największą część drogi do Durbanu.

Kilkakrotnie zatrzymujemy się na stacjach benzynowych, co pozwala chociaż na moment rozprostować kości. Około szóstej rano jesteśmy w Pietermaritzburgu, mniej więcej 80 kilometrów od celu. Najpierw odwozimy jedną z pasażerek na obrzeża miasta, do dużej posiadłości o bliżej nieokreślonym przeznaczeniu, po czym wracamy bliżej centrum. Sądzimy, że czarnoskóre dziewczyny żartują mówiąc nam „Do zobaczenia za dwie godziny”, po czym znikają gdzieś w dżungli sklepów, które – pomimo wczesnej pory – działają już pełną parą. W prowadzonym przez Hindusów magazynie (w Polsce nazwalibyśmy go hurtownią) wystawiane są stopy plastikowych wiader i krzeseł ogrodowych oraz mnóstwo innych towarów; za naszymi plecami jacyś ludzie wieszają różnobarwne, wzorzyste dywany. Obok naszego samochodu co chwilę przejeżdżają wózki wyładowane najróżniejszymi dobrami.

Czekamy pół godziny, godzinę, półtorej. . . Staję się głodny, wyciągam zatem i otwieram puszkę z warzywami w sosie curry, której zawartość pochłaniam na zimno, z chlebem i wodą. Nasi czarni pasażerowie co jakiś czas pojawiają się,

pojedynczo lub parami, taszcząc ze sobą to kilka wiader pasty do podłóg, to dwie pary butów, to komplet porcelanowych naczyń albo wełniane koce. Pojawia się nawet olej do smażenia. . . Wszystko jest pieczołowicie układane w przyczepie.

Krótko po ósmej cała grupa jest w komplecie. Wsiadamy do samochodu, kierując się w stronę centrum. Na ulicach wrze wielkomiejskie życie, przed sklepami kolejki. Zajeżdżamy na podwórko jednego z dużych magazynów. Tam czarni podróżni znikają ponownie. Jesteśmy coraz bardziej źli na nich i na kierowcę. Mija trzynasta godzina naszej odysei – z zapowiadanych siedmiu. . . Skłaniamy kierowcę, by zawiózł nas do banku. Krążymy po zatłoczonych ulicach, by zatrzymać się po dłuższym błędzeniu. Niestety, nie wybiła jeszcze dziewiąta i banki są zamknięte. Grzesiek i Fachowy ustawiają się w długiej kolejce, nie udaje im się jednak wymienić waluty. Z innego parkingu musimy odjechać na polecenie ochrony sklepu. Podczas oczekiwania na zapalenie się zielonego światła na skrzyżowaniu kupuję gazetę od ulicznego sprzedawcy. Wybity tłustymi literami tytuł na pierwszej stronie mówi o ulicznych zamieszkach w Lagos, związanych z wyborami Miss Świata, które wybuchły po ogłoszeniu w lokalnej gazecie pewnego artykułu, obraźliwego dla muzułmanów. Ponad 100 osób ginie jednego dnia. „Świat oszalał” – komentujemy ze smutkiem.

Nasi handlarze wciąż robią zakupy. Przedmiotem szczególnego pożądanego są buty – nawet Qed dostał na ulicy Maseru propozycję sprzedania swoich masywnych, skórzanych buciorów, z której rzecz jasna nie skorzystał.

Lesotańczycy w końcu wracają. Jedziemy dalej z przeświadczeniem, że kolejnym – i ostatnim – przystankiem będzie Durban. Jednak po kilku zaledwie minutach zatrzymujemy się raz jeszcze przy hurtowni butów. Milcząc wypuszczamy czarnoskórych pasażerów. Gdy znikają, otwieramy krótką naradę wojenną. Stawiamy kierowcy ultimatum – albo natychmiast wiezie nas do Durbanu, albo dostanie tylko część umówionych pieniędzy. Dajemy mu pięć minut na dogadanie się ze swoimi ziomkami.

Po chwili wraca, a za nim powoli snują się inni. Wsiadamy i ruszamy. Chyba wygraliśmy tę część, ale z tyłu słychać lament i narzekania. Tego już za wiele, wszystkim po kolei puszczają nerwy. Jest trochę krzyku, kilka soczystych przekleństw – i zapada spokój.

W ciszy dojeżdżamy do Durbanu. Podajemy kierowcy i młodemu chłopakowi, który usiadł z przodu adres hotelu „Hilton”, w którym mieści się przedstawiciel-

stwo „Hertza”, gdzie zarezerwowaliśmy samochód. Około dziesiątej, po piętnastu prawie godzinach podróży przez mękę, wjeżdżamy naszym niezbyt eleganckim wehikułem na ulicę przed hotelem. Fachowy wysiada i szybkim krokiem zmierza do wejścia. Czekamy w samochodzie, ale tu, gdzie się zatrzymaliśmy, stoją znaki zakazu – musimy odjechać. Wysiadam, żeby Fachowy nie czuł się zdezorientowany naszą nieobecnością, a samochód z moimi kolegami odjeżdża, by poszukać innego miejsca do parkowania.

Maciek wychodzi po chwili z wiadomością, że „Hertz” jest zamknięty do południa. Czekamy na chłopaków. Kilka minut później Toyota wtacza się nieśmiało na podjazd przed hotelem. Zdziwiony portier obserwuje wysypującą się z niego gromadę pstrokato ubranych, nieogolonych mężczyzn, którzy bezceremonialnie zaczynają wyładowywać góry bagażu z przyczepy i wnętrza auta, sprawiającego wrażenie, jakby trwała w nim nieustająca impreza. Gdy przychodzi do płacenia, rozpala się między nami gorąca dyskusja. Dzielimy się na dwa obozy, z których jeden chce zgody i wydania kierowcy umówionej sumy, drugi zaś twierdzi, że dla zasady powinniśmy zapłacić chociaż symbolicznie mniej. Wygrywają – dosyć niespodziewanie – przedstawiciele obozu ugodowego.

Samochód odjeżdża, zostajemy sami. Plecaki duże i małe, namioty, foliowe torby z jedzeniem – cała sterta naszego dobra leży dosyć bezładnie przytulona do potężnej betonowej kolumny. Portier w marynarce obwieszony niemal w całości przypinanymi znaczkami różnej treści jest wyraźnie zaaferowany naszą obecnością i ofiaruje swoją pomoc. Ruchem ręki odprawia chłopaka, który podchodzi z zamiarem wniesienia naszego dobytku do środka hotelu. Rysiek, Fachowy i ja idziemy na piętro i zasiadamy w palarni, czujnie obserwując szklane drzwi agencji „Hertz”. Kilka minut przed jedenastą pojawia się obsługa i zaczynamy rozmowy. Na wstępie okazuje się, że zawinił pracownik polskiego przedstawicielstwa, który zamiast w Durbanie zarezerwował nam auto w Johannesburgu. Zżymamy się na niego, ale koniec końców wybieramy inny, większy samochód: Nissana Almerę. Dłuższa dyskusja o formie płatności – bank odmawia uznania karty Ryśka, chociaż ten zarzeka się, że wszystko jest w porządku – kończy się jednak sukcesem. Zgadzamy się na dodatkowe warunki, Rysiek podpisuje papiery – i już zjeżdżamy windą na podziemny parking.

Jako kierowca sprawdzam stan samochodu. Zaglądam do bagażnika – brak koła zapasowego! Pracownik „Hertza” jest wyraźnie zaskoczony, szybko przekła-

da koło z innej Almery stojącej tuż obok. Wsiadamy i... jazda!

„Kiedyś musi być ten pierwszy raz”. Zasada ta odnosi się także do ruchu lewostronnego, w którym jako kierowca zaraz zadebiutuję. Teraz „uczę się” nowego samochodu, przyzwyczajam do kierownicy z prawej strony, do zmiany biegów lewą ręką...

Wyjeżdżamy z parkingu wprost na podjazd przed hotelem. Po kilku nieudanych próbach zapakowania wszystkiego i wszystkich rezygnujemy i zaczynamy działać bardziej metodycznie. Trzech z nas wsiada do auta, pozostali idą piechotą kilkaset metrów dalej, gdzie znajdują miejsce do zatrzymania się.

Gorączkowe przekładanie, wkładanie i ponowne wyjmowanie bagażu wydaje się nie mieć końca. Oczywiście jest, że będziemy musieli podzielić się na dwie grupy. Ostatecznie ustalamy, że pojedzie ze mną Rysiek i Qed, a reszta chłopaków „jakoś sobie poradzi” z dojazdem do Sodwana Bay, dokąd zamierzamy dotrzeć. Qed i Grzesiek mają telefony, na pewno się skontaktujemy. „Powodzenia” – słychać z obu stron.

Ruszamy. Początkowo czuję się dosyć niewyraźnie za kierownicą, ale po wyjechaniu z ruchliwego miasta na szeroką autostradę odzyskuję pewność siebie i szybko odnajduję w nowej roli. Po kilkunastu minutach po raz pierwszy dostrzegamy stalowe wody oceanu i spienione fale. Do zatoki Sodwana około 350 kilometrów. Jedziemy dosyć szybko, samochód świetnie się prowadzi. Za miejscowością Stanger dochodzimy do wniosku, że chyba zblądziliśmy i zawracamy. Szybko odnajdujemy właściwą drogę. Przez cały czas trwa wymiana SMS-ów z Grześkiem. Do bramy parku narodowego Sodwana Bay docieramy wieczorem. Szybko wypakowujemy namioty i plecaki. Nie chcę zwlekać i ruszam z Qedem po chłopaków. Przebywamy ledwie kilkaset metrów, gdy przychodzi wiadomość, że znaleźli nocleg i żebym przyjechał po nich jutro. Wracamy zatem i w drobno siąpiącym deszczu rozstawiamy nasz namiot.

Mimo tego Qed i ja postanawiamy trochę pozwiedzać i – być może – dotrzeć nad ocean. Nie przeszkadza nam fakt, że nie mamy latarki i nie znamy topografii terenu. „Do odważnych świat należy”, nieprawdaż? Błądzimy po piaszczystych drogach, wciąż słysząc szum oceanu i wiatru. Po półgodzinie uznajemy się jednak za pokonanych i wracamy. Do rana muszę dobrze wypocząć.

Rozdział 7

Zaklinacze deszczu

Wstaję niemal równo ze Słońcem. Dwa kwadransy później jadę już samochodem na południe, do Richards Bay. Przy wyjeździe rozmawiam chwilę ze strażnikiem, od którego odbieram swoją ładowarkę i akumulatorki do aparatu. Pogoda jest nieciekawa: pochmurno i chłodno; podmuchy silnego wiatru zmuszają do wyłączenia uwagi. Strażnik twierdzi, że taka pogoda w tych stronach jest nienormalna o tej porze roku. „Powinno być słonecznie i gorąco” – mówi. Wspaniale. . . Po drodze zabieram „na stopa” trzy kobiety jadące na pogrzeb do sąsiedniego miasta. One też psioczą na nieprzyjemną aurę.

Na rogatkach Richards Bay łapie mnie rześista ulewa. Wycieraczki nie nadążają ze zbieraniem wody z przedniej szyby. Świat w strugach deszczu staje się wyprany z barw, jakby woda lejąca się z nieba bezpowrotnie zmyła kolory z rzeczywistości. Jadąc z prawdziwie żółwią prędkością długo szukam hotelu „Formula 1”, w którym mam znaleźć chłopaków.

W końcu udaje mi się. Pukam do drzwi. „Kto tam?” – pyta po polsku zaspanny głos, rozczochrana głowa Tomka pojawia się w szparze. Nie do wiary, jeszcze śpią! Pokój wygląda niczym przedział kolejowy. Chłopaki zbierają się błyskawicznie – możemy jechać. Po drodze zatrzymujemy się na śniadanie w prowadzonym przez osiadłego w RPA Greka. Kiełbaska z rusztu, frytki i „Coca-Cola” uciszają żołądek upominający się o swoje prawa. Po przyjeździe do Sodwana Bay i rozpakowaniu ruszamy nad ocean. Samochód ma niejakie trudności, szczególnie podczas pokonywania progów zwalniających, ale szczęśliwie docieramy do plaży. Ludzi jest niewiele, a ci, których widać, ubrani są jak jesienią w Polsce. Nic jednak nie jest w stanie odstraszyć Fachowego od kąpieli. Siedzę z Qedem na brzegu, obrócony plecami do wiatru niosącego ze sobą drobnutki piasek, wciskający się dosłownie wszędzie, nawet pod plastikową zakrętkę butelki, o zębach nie wspo-

minając. Słońce świeci niezwykle anemicznie, jednak jego rzadkie mocniejsze przebłyski dają cień nadziei na poprawę – oby za naszej bytności w Sodwana. . .

Zimno i wiatr wyganiają nas w końcu z powrotem na kemping. Tam robimy kolację, a po niej postanawiamy pojechać po piwo. Jego zdobycie nie jest jednak tak proste jak w Polsce – trzeba jechać kilkanaście kilometrów, do najbliższej większej miejscowości, w której cudem przekonujemy sprzedawcę w zamkniętym już sklepie do wydania nam kilku butelek „Castle”. Zaopatrzeni w jęczmienno--kukurydziano-chmielowy trunek wracamy do Sodwana i rozsiadamy się nad oceanem. Jest już zupełnie ciemno, jesteśmy sami na plaży. Świsł wiatru, szum oceanu i wspaniale rozgwieżdżony południowy nieboskłon ze srebrzystymi plamami Obłoków Magellana tworzą niepowtarzalną oprawę do niespiesznej konsumpcji. Imprezę kontynuujemy na kempingu. Zasypiamy z nadzieją, że bezchmurne niebo utrzyma się do jutra, a wiatr ucichnie.

Nazajutrz, od razu po śniadaniu, pakujemy się w szóstkę do Nissana i jedziemy na plażę. Pogoda wysłuchała naszych zaklęć – wiatr nieco osłabł, a po błękitnym niebie wędrują tylko nieliczne białe kłaczki. Niestety – szybko rozwijają się w spore cumulusy, na szczęście Słońce rzadko chowa się za nimi. Daleko przed nami pada deszcz, widzimy tęczę. Rysiek, Tom i Grzesiek zamierzają nurkować przy rafie koralowej. Z tej trójki tylko Rysiek ma podwodne doświadczenie, chłopaki muszą przejść krótki kurs.

Qed, Fachowy i ja decydujemy się na kąpiel. Fale sprawiają nam wiele uciechy, dajemy się im poniewierać i miotać – zresztą ocean nie pozwala sobie na zbytnią poufałość. Gdy większa fala uderza, człowiek całkowicie traci orientację – pojęcie kierunku (góra, dół, prawo, lewo) traci sens, nie wiadomo, czy pod nogami jest dwadzieścia centymetrów wody czy dwa metry, prawdę mówiąc trudno pamiętać, gdzie się ma nogi i ręce – i nagle jest się kilka metrów bliżej brzegu, plując słoną wodą, której smak długo zostaje w ustach.

Mądrzy ludzie mówią, że morskie powietrze wzmaga apetyt. Coś w tym chyba jest, bo niemal bez przerwy czuję (nie tylko ja, jak okazuje się w rozmowach) lekkie ssanie w żołądku. Gdy staje się nieznośne, po prostu trzeba wrzucić coś na ząb. Tak też robimy – wsiadamy do samochodu i jedziemy do Mbanawanza – pobliskiego miasta – na obiad. Nauczeni doświadczeniem poprzedniego wieczoru przezornie zaopatrujemy się w piwo.

Gdy wracamy na plażę, Słońce wisi już znacznie niżej nad horyzontem niż

wtedy, gdy wybieraliśmy się do Mbanawanza. Szybko chowa się za wydmy; powietrze robi się znacznie chłodniejsze. Przyływ zmusza nas do częstych i nagłych ucieczek przed falami. Chłód wygania nas w końcu do namiotów. Po kolacji decydujemy się na ostatnią wizytę na plaży. Jutro są moje urodziny, ale z uwagi na to, że z samego rana wyjeżdżamy, rozdzielając się na dwie grupy – Rysiek i Grzesiek jadą do Suazi, my wzdłuż wybrzeża na południe – postanawiam świętować dzisiaj. Pożegnalno-urodzinowy wieczór umilają nam barwne opowieści Ryśka o przygodach przeżytych podczas licznych podróży po świecie: Antarktydzie, Afryce, Azji. . .

Rozdział 8

2,2%, czyli długi dzień za kółkiem

Ten dzień będzie długi i monotony, może dlatego, że spędzony niemal w całości w samochodzie. Rano wyjeżdżamy w czwórkę z Sodwana, obarczając Fachowego i Qeda zadaniem zwinięcia obozu. Do Mbanawanza i kawałek dalej droga jest „przyjazna dla użytkownika”, bitumiczna, z nielicznymi dziurami, jednak chwilę później asfalt ustępuje miejsca czerwonemu kamienistemu laterytowi. Zwalniamy, żeby nie uszkodzić samochodu, gdyż spod podwozia co chwilę dobiegają mniej lub bardziej głośne łupnięcia albo wywołujące ciarki odgłosy szorowania rurą wydechową po ziemi. Pokonanie 40 kilometrów zajmuje nam dobrze ponad godzinę. Za Jozini droga jest znacznie lepsza. Objeżdżamy wielkie sztuczne jezioro na rzece Pongola, zamknięte od południa betonową zaporą; szosa meandruje niczym górską rzeką. Zatrzymujemy się, by rozprostować kości i strzelić kilka zdjęć. Surową industrialną urodę zapory idealnie równoważy dzikie wysypisko złomu – nikomu niepotrzebnych śmieci ery przemysłowej. Strone podjazdy i ostre spadki nie pozwalają mi nudzić się za kierownicą. Dobrze obciążony samochód świetnie trzyma się odpowiednio wyprofilowanej drogi, z łatwością pokonując ciasne zakręty.

W końcu dojeżdżamy do Golele – przejścia granicznego ze Suazi. Żegnamy się z chłopakami, życząc im powodzenia, i po „małym co nieco”, jak mawiał pewien Miś-o-Bardzo-Małym- Rozumku, bezzwłocznie ruszamy w drogę powrotną. Postanawiamy oszczędzić samochód i pojechać dłuższą, ale za to lepszej jakości drogą przez Hluhluwe.

Gdy wjeżdżamy na kemping w Sodwana, wita nas stos plecaków, namiotów i innego dobra. . . oraz ponure miny naszych kolegów. Rozumiemy ich doskonale – nie było nas prawie sześć godzin. Błyskawicznie pakujemy się i wyruszamy w trasę, by nie tracić cennego czasu. Naszym dzisiejszym celem jest bowiem od-

legły o 550 km Port Edwards.

Po wjechaniu na autostradę N2 mkniemy ze średnią prędkością 130 km/h na południe. Mijamy znane nam już miejscowości: Empangeni, Tongaat, wygodną obwodnicą niemal niezauważalnie objeżdżamy Durban. . .

Do Port Edwards docieramy wieczorem. Z przewodnikiem w rękę szukamy Vuna Valley Backpackers – tam zamierzamy dzisiaj spać. Jak sama nazwa wskazuje, musimy zjechać do doliny, gdzie znajdujemy poszukiwane miejsce. Znużeni jazdą dajemy się skusić na niedrogi nocleg w wygodnych łóżkach – nikomu nie chce się rozstawiać namiotu na kilka krótkich godzin. Fascynuje nas urokliwe położenie wielkiego domu, jego fantazyjny, prawdziwie hippisowski wystrój i wspañiały – nawet w nocy – ogród. Po ścianach i suficie biegają maleńkie jaszczurki – albinosy. Gościnna gospodyni pokazuje nam świetnie wyposażoną kuchnię, w której przyrządzamy wieczorny posiłek. Jaszczurki wiernie nam kibicują, nieruchomo zastygłe na ścianie. Życie tętni zresztą dosłownie wszędzie – w narożu naszego pokoju, pod sufitem, fascynujące brązowo-czarne owady budują misterne gniazdo. Później tylko kąpiel i – witajcie, Lariamowe sny! Pokonanie dzisiaj w trójskoku 2,2% obwodu Ziemi dało mi się trochę we znaki. . .

Rozdział 9

„The Gap”, czyli oceaniczny bidet

Następnego ranka po śniadaniu zasięgamy języka u gospodyni, by wywieźć się czegoś o drodze do Port Saint Johns – naszego kolejnego przystanku w drodze na południe kraju. Uzbrojeni we wskazówki i adresy kilku kempingów żegnamy się z Vuna Valley i po zatankowaniu paliwa na pobliskiej stacji wjeżdżamy na drogę R61. Polecano nam ją ze względu na piękne widoki – i nie zawiedliśmy się. Ma bowiem typowo górski charakter, z mnóstwem zakrętów, spadków i podjazdów; bardzo przypomina drogę z Jozini do Golele. Po drodze mijamy dziesiątki wiosek i miasteczek. W jednej z większych miejscowości – Flagstaff – zatrzymujemy się w porze obiadowej. Robimy zakupy w wielkim magazynie, na którego temat polska inspekcja handlowa i Sanepid napisałyby z całą pewnością opasłe tomy akt: nad głównym wejściem antresola podparta krawędziakami, dosłownie uginająca się pod ciężarem worków, zaśmiecona podłoga, ledwo pracujące chłodnie, z których woda wylewa się wprost do podstawionych misek, zapach chemikaliów zmieszany z aromatem żywności, stada much leniwie krążących nad ludzką ciżbą...

Po wyjściu musimy chwilę zaczekać; jakiś samochód zablokował nam wyjazd. Kilkanaście metrów dalej tłum kłębi się wokół grupki muzyków i tancerzy, dobywających ze swego sprzętu stereo ostatnich sił. W mrużący gwar ludzkich głosów i o wiele za głośne uderzenia bębnów i rozmaitych brzęczących „przeszkadzajek” wkrada się od czasu do czasu odgłos samochodowego klaksonu.

Na trzydzieści kilometrów przed Port St. Johns droga zmienia się w szutrową, wyraźnie przygotowaną do wylania na niej asfaltu. I rzeczywiście – po kilkunastu minutach jazdy w tumanach pyłu powoli opadających po przejeździe innych samochodów dojeżdżamy do przełęczy, na której kilkanaście pojazdów różnej maści oczekuje na pozwolenie wyjazdu. Po krótkim oczekiwaniu zostajemy wpuszczeni

na drogę z kilkakrotnie powtarzanym, niczym magiczne zaklęcie, przykazaniem: „Jedź powoli”. Pilnie trzymam się tego nakazu, starając się nie przekroczyć 20 km/h. Świeży, jeszcze dymiący asfalt o gryzącym smolnym zapachu świadczy o zaawansowaniu robót. Mijamy brygadę robotników, lawirujemy między ciężkimi maszynami drogowymi. . .

Na samym dole konsternacja: człowiek w mundurze ostro pyta, jakim cudem znaleźliśmy się tutaj, skoro przełęcz jest zamknięta. Pomimo łączności radiowej, jaką mają ekipy na całej trasie, do niego najwyraźniej nie docierają wiadomości. Kto wie, ile czasu trzymałby nas w niepewności, gdyby nie inne samochody, które pojawiają się tuż po nas. Od razu po zjechaniu z remontowanej drogi wjeżdżamy na most, pod którym brunatnożółte wody toczy rzeka Mzimfibi. Dwie góry po obu stronach jej ujścia stanowią swoistą bramę do oceanu.

Kolejne kilka kwadransów spędzamy na poszukiwaniu poleconych nam w Vuna Valley miejsc noclegowych. Początkowo co prawda nie możemy dogadać się co do tego, gdzie spędzić noc, ale koniec końców dochodzimy do porozumienia i naszym domem na następne dwa dni zostaje Amapondo Backpackers.

Rozdzielamy się. Qed i ja idziemy coś zjeść i napić się piwa, a później na plażę, a gdy dołączają do nas Tom i Fachowy, toczymy długą rozmowę o tym, co robić w najbliższych dniach. Gdy Słońce chowa się za skalistymi wzgórzami, wracamy do Amapondo i jedziemy do centrum po zakupy na wieczór i jutrzejszy poranek. Z piwem w dłoni zasiadamy na wystawionej pod blaszany dach kanapie i obserwujemy burzę. Wyładowania rozświetlają niebo to silniej, to słabiej, deszcz bębni w dach. „Jak to jest”, zastanawiamy się, „że gdy tylko pojawimy się w jakimś miejscu, pogoda natychmiast się tam psuje, choćby w drodze prażyło Słońce i nie było ani jednej litościwej chmurki?”. Zagadka pozostaje nierozwiązana. . .

Gdy Tom i Fachowy idą spać, Qed i ja walczymy z instalacją modemu w Windows XP na komputerze właściciela kempingu. Około pierwszej w nocy zostawiam Jędrzeja sam na sam z oporną maszyną i idę po ciemku do namiotu rozstawionego wysoko na wzgórzu. Sen przychodzi niemal natychmiast, przywołany szumem oceanu.

Budzę się, gdy duchota w namiocie staje się nieznośna. Po kąpieli znajduję Fachowego czytającego przewodnik w swoim namiocie. Tomek zniknął gdzieś wcześniej rano. Mobilizuję Qeda i w trójkę idziemy na plażę szukać naszej zguby. Po drodze zatrzymujemy się jednak na śniadanie, które przeciąga się do godzi-

ny spędzonej w restauracji. Fachowy w tym czasie samotnie wybiera na wysokie strome wzgórze, gdzie spodziewa się znaleźć Toma. Dołączamy do niego po pewnym czasie. Z góry roztacza się wspaniały widok na ocean i niewielką zatokę. Maciek woła nas już z daleka, krzycząc „Delfiny!” i pokazując na ocean. Wyteżamy wzrok. Rzeczywiście – stado tych ssaków co chwilę wyskakuje z wody i spada do niej zgrabnymi łukami. Udaje mi się nawet zrobić krótki film z tej zabawy, choć z tej odległości delfiny są maleńkimi „aktorami”.

Tom stoi po drugiej stronie przepaści, na skalnej półce, i woła nas, byśmy przyszli „coś obejrzeć”. Z naszej trójki tylko ja odpowiadam na jego wezwanie. Schodzę najpierw po naturalnych skalnych stopniach, a tam, gdzie jest to trudniejsze, posiłkuję się stalową liną, specjalnie w tym celu zawieszoną. Chwilę później wspinam się po drabinie na półkę skalną i znikamy za załosem.

Po stalowych klamrach schodzimy na olbrzymią pochyloną płytę skalną, zanurzoną w oceanie. Za naszymi plecami ściana, a za nią wzgórze, na którym zostali Fachowy i Qed. Ocean wściekle kotłuje się w dole, rozbijając w słony pył na ostrych kamieniach. Można patrzeć godzinami na ten potężny żywioł.

Wyraźnie widać ostre przejście między brunatnymi wodami niesionymi przez rzekę a stalowoszarym oceanem. Schodzimy jeszcze niżej, do niezwyklego „oceanicznego bidetu”. Pracując przez tysiące lat ocean zdołał wyłobić w skale kanał, do którego prowadzi pionowy komin. Większe fale rozbijając się o skalną płytę wdzierają się pod nią kanałem i gwałtownym pióropuszem tryskają na kilka metrów w górę, wydając przy tym głośny syk.

Przekrój komina jest wystarczająco duży, by zmieścić się tam człowiek. Skąd o tym wiem? Podczas wędrówki na wzgórze moją uwagę przykuła kamienna tablica, którą nazwać można nagrobkiem. W 1969 roku w „The Gap”, bo tak nazywa się owa przyrodnicza atrakcja, utonął chłopak w moim wieku. „Jego grobem – ocean” – przestrzegają rodzice i siostry. Druga tablica tuż obok świadczy, że nie była to jedyna ofiara „The Gap”. A ile pochłonęła bezimiennych...?

Odrywamy w końcu wzrok od bezkresnych wód oceanu i wracamy do kolegów. Tom opowiada o zbieraczu ostryg, którego spotkał rano i namawia nas na obiad w pobliskiej restauracji. Dlaczego nie? Najpierw jednak idziemy do Amapondo, a chwilę później prosto z plaży wspinamy się po drewnianych schodach na taras restauracji. Trochę nie pasujemy do eleganckiego wnętrza w naszych przybrudzonych koszulkach, krótkich spodniach, nieogoleni i z młodzieżowymi plecami.

kami, ale nic to. Zamawiamy dwie porcje (właściwie cztery, ale podane w dwóch brytfannach) owoców morza, które nie nazywają się tutaj po prostu „frutti di mare”, lecz „seafood platter” – dosłownie „taca z morskim jedzeniem”. Danie wydaje nam się podejrzanie mało kosztować, ale to tym lepiej dla nas. Na przystawkę dostajemy ostrygi, które mam okazję próbować pierwszy raz w życiu, a do tego butelkę zimnego „Castle”.

Po kilkunastu minutach pełnego napięcia wyczekiwania kelnerzy przynoszą dwie spore żeliwne patelnie na podgrzewaczach, wypełnione – mało powiedzieć, że po brzegi – skarbami morza. Królują wśród nich czerwone langusty, towarzyszą im krewetki, kawałki kałamarnic i oczywiście „pospolite” ryby. Do tego mamy ryż biały i żółty oraz rozmaite sałatki.

Konsumpcja trwa dłuższą chwilę. W pewnym momencie pusta dotąd sala wypełnia się czarnoskórymi gośćmi, którzy zasiadają do przygotowanych wcześniej stołów i po skończonym posiłku wychodzą znacznie wcześniej od nas. My dostajemy jeszcze lody i prosimy o rachunek. Zgadujemy, ile zapłacimy: sto, może sto pięćdziesiąt? Wyciągam rachunek: czterysta randów! No, trzeba przyznać, że nieźle nas wykołowali. . . Równowartość dziesięciu dolarów stanowi chyba jakąś magiczną cezurę w Afryce, przynajmniej jeśli chodzi o kulinaria – w ubiegłym roku w Zambii za wieczornego grilla nad jeziorem Kariba zapłaciliśmy dokładnie tyle samo. . .

Po tak obfitym obiedzie, od którego nasze żołądki już chyba odwykły, jesteśmy ociążali i rozleniwieni. Nie poddajemy się jednak chęci odpoczynku, wręcz przeciwnie – najpierw jedziemy do miasta po zakupy, a po powrocie zostawiamy samochód i wyruszamy na długą wędrówkę wzdłuż kamienistego wybrzeża. Naszą uwagę przyciągają niesamowite ilości ostryg jakby scementowanych ze skałami, ogromne i całkiem małe otoczaki o fantazyjnych kształtach, ostre jak brzytwa skały wyglądające niczym przecięty pumeks. . . W spękaniach i wypłukanych milionami przypliwów i odpływów zagłębieniach w litej skale toczy się bujne życie. Każda, nawet najmniejsza, szczelina ma swoich lokatorów: małże, ślimaki, pająki ukryte w opuszczonych przez dawnych mieszkańców spiralnych skorupach, jeżowce, różnobarwne koralce – całe mnóstwo odrębnych małych wszechświatów, z których każdy jest wart uwagi – ale choćby były sąsiadami „przez miedzę”, nie wiedzą wzajemnie o swoim istnieniu i bliskości. Nasuwają mi się skojarzenia z losem naszego gatunku, w głowie uparcie rozbrzmiewają odważne – nawet

dziś, w dobie lotów kosmicznych – słowa średniowiecznego myśliciela o istnieniu nieskończonych światów. . .

Wąska ścieżka prowadzi nas wśród podzwrotnikowej roślinności w miejsce, które nawet w przewodnikach nosi bezpretensjonalną nazwę „trzeciej plaży”. Rośliny kuszą swoimi, nieznanymi dla wschodnioeuropejskiego oka, kształtami liści i kolorowymi owocami, rozsiewają odurzające zapachy. . . Na plaży Fachowy pokazuje, jak wygląda „prawdziwy twardziel” – rozbiera się i pędzi ku wodzie. Ale cóż to? Im bliżej podchodzi, tym mniejszy animusz widać w jego ruchach. Nie ma się co dziwić – zimna woda i chłodny wiatr nie zachęcają do kąpieli. Pod naszymi stopami wre ciągła walka o życie – maleńkie gładkie ślimaki uparcie posuwają się po wilgotnym piasku, wierząc w nim lejkowato zakończone otwory – szybko, szybko, byle zdążyć przed falą! Gdzieniedzie na brzegu dostrzec można, czasem w ostatniej chwili, tuż przed postawieniem stopy na piasku, bezkształtne masywne bryły półprzezroczystej galarety – wyrzucone przez wodę meduzy. Chciałoby się posiedzieć tutaj dłużej, ale Słońce wkrótce zajdzie – musimy wracać.

W Amapondo otwieramy dobrze schłodzone piwo i rozsiadamy się przy okrągłym stoliku. Wspominamy chwile już przeżyte i snujemy rozważania o tych, które dopiero nas czekają. Co jakiś czas idę sprawdzić zaawansowanie prac na reinstalacją systemu operacyjnego – wciąż nie mam nagranej płyty ze zdjęciami z mojego aparatu. Właściciel obiecuje wypalić płytę do rana, do naszego wyjazdu.

Dosiada się do nas młoda Angielka, której wiedza na temat Polski okazuje się być – delikatnie mówiąc – nieszczególna. Dowiadujemy się na przykład, że nasz kraj leży nad Morzem Czarnym. Owszem, parę wieków temu. . . Jakiś czas spędzamy na plaży – ostatnie chwile nad Oceanem Indyjskim. W końcu nadchodzi pora nocnego odpoczynku. Jutro znowu w drogę. . .

Rozdział 10

„Wioska przeklętych”

Jak można się było spodziewać, rano budzi nas wspaniała słoneczna pogoda. Dziś czeka nas przeskok z upalnego lata w chłodną i deszczową polską jesień, o czym rzecz jasna nie wiemy, pakując około dziesiątej rano nasz dobytek do Nissana, który z białego stał się rdzawoczerwony, a w środku wygląda tak, jakby ktoś urządzał w nim piaskownicę. Z każdym kolejnym pakowaniem rośnie także ilość przedmiotów, które zamiast zmieścić się w bagażniku sadowiają się wygodnie w kabinie. Ulubionym ich miejscem jest zwłaszcza przestrzeń kanapy między Fachowym i Qedem oraz półka pod tylną szybą. Ich zachowanie jest bardzo „ludzkie”: gdy raz znajdą wygodny kącik, lubią do niego wracać.

Późno, bo dopiero około jedenastej wyruszamy w drogę. Pierwszą dobrą wiadomością, jaką usłyszałem po przebudzeniu było: „Płyta nagrana”. Opróżniam kartę pamięci z wcześniej zrobionych zdjęć, robiąc przestrzeń dla nowych, które zrobię już w górach Drakensberg, na wschodniej granicy RPA i Lesoto – tam właśnie mamy zamiar dziś dojechać. W drodze aura stopniowo, prawie niezauważalnie, zmienia się na gorszą. Niebo, początkowo bezchmurne, coraz śmieiej i liczniej zasiedla cała menażeria obłoków mniejszych i większych. Im bliżej jesteśmy gór, a dalej od oceanu, tym częściej jedziemy w cieniu chmur niż w świetle Słońca. Ostatnie dziesięć kilometrów między Himeville a Sani Lodge pokonujemy drogą szutrową. Potężne uderzenie w podwozie na nadszpodziewanie wysokim wykrocie stanowi ostatni, mocny akord dzisiejszego etapu podróży po księżycowy cień – jesteśmy w Sani Lodge. Ale czy to na pewno Afryka? Drobna mżawka, gęsta mgła otulająca okolice, nawet temperatura – zaledwie dwanaście stopni powyżej zera – pozwalają w to wątpić. Otoczenie do złudzenia przypomina krajobraz polskiego pogórza. Foldery reklamowe nie kłamią – „Republika Południowej Afryki to cały świat w jednym kraju!”. Hmmm...

Nie zamierzamy jednak załamywać rąk i iść w ślady innych gości, którzy rozsiadli się wygodnie w ciepłej świetlicy. Postanawiamy wybrać się na przechadzkę do pobliskiego schroniska – Mkomazana Hostel. Przywiezione z Polski kurtki i ciepłe swetry są jak znalazł na nieprzyjazną aurę. Po prawej stronie mijamy rozległe ogrodzone tereny należące do Sani Pass Hotel, równo przystrzyżone pola golfowe... Ani przez chwilę nie potrafimy pozbyć się wrażenia przebywania gdzieś w Polsce, która o tej porze roku wygląda identycznie. Wysokie szczyty i strome ściany skalne mającą wysoko we mgle i szarówce zbliżającej się nocy. „Cobham State Forest” – informuje napis na przydrożnej tablicy.

W pewnej chwili widzimy w oddali słabą łunę sztucznego oświetlenia. Ponieważ zdążyliśmy już zwątpić, czy uda nam się dotrzeć do schroniska (idziemy już prawie godzinę), światło mobilizuje nas do dalszego wysiłku. Niemal w tym samym momencie dochodzimy do dziwnego miejsca. Droga zakręca w lewo, na niewielkim obszarze porozrzucane są ruiny budynków, niektóre wypalone, bez dachów. Gęsto rozsiane fragmenty cegieł i betonu wyglądają jak oderwane uderzeniami pocisków. Długa betonowa kolumnada sterczy ponuro, prowadząc donikąd. Spoglądają na nas puste oczodoły okien i pozbawione drzwi wejścia, przez które w gęstniejącym mroku dostrzec można pleniące się bujnie zielsko. Większe krzewy świadczą o tym, że ludzie dawno porzucili to przyprawiające o dreszcze miejsce, które wygląda jak zniszczona przez wojnę wieś. „Prawdziwa 'wioska przeklętych' ” – mówimy pół żartem, pół serio, odruchowo przyspieszając kroku. Wyobraźnia pracuje intensywnie, Tom opowiada historie o świniostworach; mało brakuje, żebyśmy zaczęli rozglądać się wokół siebie w poszukiwaniu widm dawnych mieszkańców. Niemal fizycznie czujemy na plecach ich nieobecne, zimne spojrzenia. To dopiero półmetek naszych wyimaginowanych (czy na pewno?) atawistycznych lęków – przecież będziemy musieli tędy wracać.

W zupełnych ciemnościach docieramy wreszcie do bramy Mkomazana Hostel – ostatniej ostoji turystów po tej stronie gór. Kilka kilometrów dalej jest już przełęcz Sani – jedyne przejezdne dla samochodów (z napędem na cztery koła) przejście graniczne między RPA i Lesoto w górach Drakensberg. Idziemy „na czuja”, ostrożnie przekraczając pozbawiony barier ochronnych betonowy mostek nad bystrym potokiem. Po chwili trafiamy do innego świata – ciepłego, przytulnego, przestronnego baru, całego w surowym drewnie. „Jak w Finlandii” – mówi Fachowy. U oglądającej mecz krykieta barmanki zamawiamy zimne piwo, roz-

wieszamy przed płonącym na środku sali ogniem przemoczone kurtki i rozsiadamy się wygodnie na miękkich kanapach, pogryzając smakowity *biltong* – suszone płaty wołowego mięsa, zasolone i przyprawione na ostro. Stanowią znakomitą przekąskę do chłodnego „Castle”. Aż przykro pomyśleć, że wkrótce będziemy musieli stąd iść. . .

Naszą uwagę przyciąga rząd gitar o fantazyjnie wymalowanych pudłach rezonansowych. Największe wrażenie robi na mnie ta, która wyobraża usiane gwiazdami niebo i owłosionych praludzi o hotentockich rysach i silnie sklepionych, uniesionych ku górze głowach. Spojrzenia głęboko osadzonych i szeroko otwartych, błyszczących oczu wyrażają jednocześnie podziw i lęk. Może właśnie oglądają całkowite zaćmienie Słońca. . . ? Pierwszoplanową postacią jest przystrojony piórami i naszyjnikami z zębów zwierząt szaman o pooranej brudami twarzy i rysach zdradzających indiańskie pochodzenie. Za jego plecami dostrzec można zarysy totemów, stożkowatych namiotów i ludzi skupionych wokół ogniska. Na końcu gryfu subtelnie malowane dekoracje niezauważalnie zmieniają się w helisę DNA. Płynne przejście od obrazów galaktyk po zapis życia, od makro- do mikroświata. . .

Mija półtorej godziny. Niechętnie, ale zbieramy się do wyjścia. Nie wiemy, ile czasu zajmie nam powrót, poza tym jest już późno, a jutro znowu musimy ruszać dalej na północ. Księżyc już biegnie, by zakryć Słońce, i na pewno nie zaczeka na nas. Wychodzimy prosto w dyszącą wilgocią noc. Opary mgły szczelnie nas otulają. Tam, gdzie kończy się zasięg świateł schroniska, zaczyna się królestwo mroku. Chwilę błądzimy w poszukiwaniu mostka, pomagając sobie anemiczną latarką, która bardziej rozprasza produkowane przez siebie światło niż je skupia. Gdy wychodzimy na żwirową drogę, polegamy niemal wyłącznie na własnych przypuszczeniach co do jej przebiegu niż na tym, co mówi nam wzrok. Dobrze, że Tomek ma jasne spodnie i taką samą kurtkę; staram się iść jego śladem ufając, że będzie dobrym przewodnikiem. Bywają momenty, że naprawdę nie wiem, jak daleko jestem od krawędzi drogi, czasem trudno mi nawet stawiać kroki. Daje mi to blade wyobrażenie o świecie, w jakim żyją ludzie pozbawieni zdolności widzenia – i o ile uboższe są przez to ich możliwości poznawania otoczenia.

„Wioskę przeklętych” spostrzegamy dopiero, gdy już jesteśmy głęboko w niej. Na matowym tle nieba ledwo można dostrzec zarysy zrujnowanych budynków. Mimowolnie dostosowuję tempo marszu tak, by iść równo z chłopakami. Dale-

ko przed nami, z lewej strony, widać poświatę z Sani Pass Hotel – nasza jedyna wskazówka co do odległości i przybliżonego kierunku, w jakim powinniśmy iść. A idziemy już długo, głównie dlatego, że ostrożniej stawiamy kroki. Mamy wrażenie, że po prawej stronie drogi coś szeleści w krzakach.

Po mniej więcej dwóch kwadransach mijamy główną bramę hotelu. Wiemy, że do naszego kempingu został nam zaledwie kilometr – chociaż w tych warunkach jest to aż nadto. Idziemy żwawiej; tak bardzo, że niezauważenie mijamy nasz cel. Myli nas szyld, którą widzimy nieco wcześniej. Próbuje odczytać napisy na tablicy, ale rezygnujemy po chwili. Od wyjścia z Mkomazana Hostel minęło już ponad półtorej godziny, co nawet przy uwzględnieniu wolniejszego tempa w drodze powrotnej zupełnie wystarcza do tego, byśmy już byli na miejscu.

Skonfundowani zatrzymujemy się przy zbudowanej z polnych kamieni ścianie z umieszczoną na niej kamienną tablicą, zastanawiając się nad słusznością dalszej wędrówki w tym kierunku. Qed i ja twierdzimy, że minęliśmy Sani Lodge wcześniej, Tom i Fachowy utrzymują natomiast, że powinniśmy iść dalej, „jeszcze przez pół godziny, a jeśli nie trafimy, to wrócimy”. Gdy tak stoimy i rozprawiamy, widzimy daleko przed nami ruchomą łunę, jaśniejącą z każdą chwilą. To chyba jakiś samochód. Staję na poboczu i macham świecąca już żółtym światłem latarką. Samochód zatrzymuje się tuż obok. Nie do wiary – to policja! Pytamy o drogę do Sani Lodge; okazuje się, że już jakiś czas temu minęliśmy właściwe miejsce. Policjanci proponują, że nas podwiozą. Wchodzimy kolejno tylnym wejściem, siadając na twardych ławkach. Zatrząskują się za nami okratowane drzwi; pachnące smarem, osłaniające od chłodu wewnątrz wydaje się pałacem – ruszamy. Patrzymy po sobie – znowu się nam upiekło. Ile razy jeszcze...?

Auto zatrzymuje się przed samym wejściem, policjant wypuszcza nas, wsiaada z powrotem do kabiny i samochód odjeżdża w swoją stronę. My idziemy od razu do naszego pokoju, szybko myjemy się i kładziemy spać. Po pełnym wrażeń dniu, a szczególnie jego mocnej końcówce i długim spacerze zasypiam prawie natychmiast.

Rozdział 11

72 lata suszy, albo jak porwać córkę południowoafrykańskiego farmera

Gdy następnego ranka schodzę z chybliwego piętrowego łóżka, by wykapać się przed podróżą, wita mnie – a jakże – przepiękna słoneczna pogoda. Po szybkim śniadaniu jako „minister wspólnego skarbu” naszej ekspedycji idę uiścić należność za nocleg. Przyjmujący pieniądze chłopak pyta, co się z nami działo wieczorem. „Przyjechaliście, zostawiliście rzeczy i zniknęli” – patrzy na mnie pytająco. „Byliśmy w wiosce przeklętych” – odpowiadam po prostu, tak jakby miało to cokolwiek wyjaśniać i tonem tak naturalnym, jakbym co dzień – a raczej co wieczór – przechadzał się dla czystej przyjemności w nawiedzonych miejscach.

Podczas wyjeżdżania z Sani Lodge spoglądamy w lewo. Tablica, która zmyliła nas wczorajszego wieczoru, stoi jakieś trzydzieści metrów od bramy, natomiast ta, której szukaliśmy, jest tuż obok nas, na wyciągnięcie ręki. Zachodzimy w głowę, jak to możliwe, że wczoraj jej nie zauważyliśmy. „To na pewno sprawka świniostworów. Schowały ją, żeby wciągnąć nas w zasadzkę” – z poważną miną mówi Tom. Kto wie...?

Kilkaset metrów dalej zatrzymujemy się na poboczu, by podelektować się widokami ostro zakończonych grani i zielonych łąk, które wczoraj skryła przed nami mgła. Zgodnie z mapą i tym, co mówią znaki drogowe, przez pierwsze siedemdziesiąt kilometrów dzisiejszej trasy musimy sobie radzić bez asfaltu. Nissan na razie nie protestuje, nawet w tak niesprzyjających warunkach. Z rzadka tylko mijamy inne auta, a jeszcze rzadziej ludzkie siedziby. Zatrzymujemy się dość często po to tylko, by pooglądać urokliwe otoczenie i spróbować uwiecznić je na zdjęciach. Erozja odcisnęła wyraźne piętno na górach, świetnie widać ich płytową budowę. Często przejeżdżamy przez wąziutkie, obliczone na jeden samochód

mostki przerzucone nad niewielkimi strumieniami i całkiem sporymi rzekami płynącymi w głębokich kanionach.

Po około trzech godzinach zauważamy na poboczu martwą krowę. Duszący zapach gnijącego mięsa wdiera się do kabiny. Zamykamy okna, a chwilę później stukot kamieni odbijających się od podwozia zmienia się w uspokajający szum opon na asfalcie. Jakiś czas potem naszą uwagę ponownie przyciągają krowy, tym razem jednak jak najbardziej żywe. Daleko po prawej stronie pustej drogi, na dywanie fioletowych jak wrzos kwiatów, pasie się całe stado. Kolor rozległej łąki jest identyczny z tym, który znamy z opakowań czekolady „Milka”. Wąski pas białego kwiecia dopełnia tego sielankowego obrazu, który burzy jedynie ciągnąca się w poprzek kadru linia energetyczna.

Jako że jest pora obiadu i nasze żołądki bezceremonialnie nam o tym przypominają, wypatrujemy miejsca, w którym można zatrzymać się i wrzucić coś na ząb. Jest – zachęcający napis „Die Oasis” w sąsiedztwie reklam „Coca-Coli” na tonącym w kwiatkach budynku skłania nas do zjechania z szosy. Nie bez znaczenia jest fakt, że tuż obok widać szyld „Bottle Store” firmowany logo „Castle”. Sieć „bottle stores”, czyli swojskich „monopolowych”, to jedyne miejsca w RPA, gdzie można dostać alkohol; w zwyczajnych sklepach piwa ani innych trunków nie uświadczysz, w przeciwieństwie do sytuacji znanej z Polski. Masywna krata zasłania jednak wejście do sklepu, w którym już z daleka błyszczą w półmroku rzędy butelek. Ale nie to jest najciekawsze, bowiem pierwszą rzeczą rzucającą się w oczy jest... stos trumien stojących jedna na drugiej na podłodze przed konturem. Spoglądamy na tę scenkę oniemiały, a potem wchodzimy kolejno do sąsiadującej z „bottle store” restauracji, gdzie miła biała właścicielka w kwiecie wieku podaje nam mocno schłodzoną „Coca-Colę”. Na zapleczu lokalu słychać okrzyki i śpiewy. „Stypa? Wesoło się bawią” – komentujemy wsiadając do samochodu.

W okolicy miejscowości Nottingham Road włączamy się do ruchu na autostradzie N3. Po lewej stronie prawdziwa atrakcja – zrzut wody ze sztucznego jeziora. Zapora Wagondrift jest niezbyt wielka, ale tryskająca z niej woda cieszy oko. Nie my jedni zatrzymujemy się, by popatrzeć.

Na balustradzie wiaduktu, z którego robimy zdjęcia, widnieje tabliczka z rokiem budowy: 1977. Nie sposób pominąć w opisie kraju tego, co wciąż, pomimo wielu dni spędzonych w trasie, robi na nas wielkie wrażenie – dróg. Szosy w RPA są szerokie, w większości wyposażone w pasy awaryjne. Spotkaliśmy niewiele

odcinków z dziurami w asfalcie, który zresztą wygląda tak, jak gdyby nie miał się go ząb czasu: jest równy, pozbawiony kolein, nie kruszy się na brzegach. Nie są to cechy wyłącznie dróg głównych – znakomitą większość dróg utwardzonych stanowią bowiem tzw. drogi regionalne, oznaczone literą R i numerem (u nas nazywane krajowymi). Często spotykaliśmy służby drogowe naprawiające czy wręcz kładące nową nawierzchnię albo przycinające zbyt bujną roślinność na poboczach. Tym, co najczęściej przychodziło mi na myśl podczas prowadzenia samochodu – szczególnie gdy od czasu do czasu migaly mi tabliczki z datami budowy sprzed ćwierć albo więcej wieku – była smutna refleksja nad jakością polskich szos. Za ile lat (może dekad?) będą takie jak w RPA? Są też rzecz jasna drogi nieutwardzone, których relatywnie jest najwięcej, ale nimi jeździliśmy rzadko, choć w sumie „uzbierałyby” się kilkaset kilometrów. Sądzę zatem, że mam prawo wypowiadać się o południowoafrykańskich drogach z uznaniem – przejechałem nimi 4700 kilometrów w dwa tygodnie i chociaż ograniczyliśmy nasz pobyt do wschodnich prowincji kraju, mogę na tej podstawie wyciągnąć bardziej ogólne wnioski. Całej winy na fatalny stan polskich dróg nie można zwalić li tylko na zmienne warunki atmosferyczne – każdy kierowca z doświadczenia wie, jak trudna i niebezpieczna jest jazda po sezonie zimowym lub w jego trakcie, gdy wyrwy i fragmenty asfaltu wyrastają w najmniej odpowiednich miejscach. Zmiany temperatury, mróz rozsadzający asfalt – owszem, są to warunki nieprzyjazne dla nawierzchni, ale na przykład w Szwecji klimat jest jeszcze ostrzejszy, a drogi są równie dobre jak w RPA.

Za Volksrust zaczynamy rozglądać się wśród drogowskazów i tablic w poszukiwaniu miejsca do spędzenia nocy. Jesteśmy w rejonie niezbyt „turystycznym”, a Słońce wyraźnie chyli się ku zachodowi. Za Amersfoort zauważamy skierowaną w lewo tablicę „Grabesrust Gastehuis” – czyli „dom gościnny”. Dwanaście kilometrów żwirową drogą wydaje się wydłużać z każdą kolejną minutą. Mijamy niewielką wioskę, a za nią jakieś zabudowania. „Czy to tutaj?” – zastanawiamy się. Zgodnie z zasadą „koniec języka za przewodnika” postanawiamy spytać o wskazówki, ale odstrasza nas jaskrawożółta tablica ostrzegająca przed przekraczaniem bramy. Widnieją na niej symbole: karabin, pies, trupia czaszka ze skrzyżowanymi piszczelami, groźnie brzmiące zakazy – nic, co zachęcałoby do wejścia. Decydujemy się szukać dalej na własną rękę.

Kilka kilometrów dalej następane domy. Jest tablica – „Grabesrust Gastehu-

is”. Wjeżdżamy na rozległy trawnik przed dużym domostwem, otoczonym bujną zielenią i mnóstwem kwiatów – przepiękny ogród, cisza, spokój... Na ceglanych kolumnach oznaczających bramę stoją przedmioty przypominające astrolabia, w ogrodzie niedaleko domu dostrzegamy zegar słoneczny. „Może to miłośnicy astronomii; dadzą nam zniżkę z okazji zaćmienia” – żartujemy. Za płotem widać pasące się konie. W garażu stoi kilka samochodów, ale nigdzie nie widać ludzi. Stoimy przez chwilę niezdecydowani, w końcu Tom i Fachowy idą do środka. Qed i ja słyszymy dobiegające gdzieś z głębi ujadanie psów. Po krótkiej chwili wyskakują w naszym kierunku dwa ogromne brytany o jasnej sierści i niezwykłych, stalowoszarych oczach. Dają się jednak obłaskawić i chętnie przyjmują głaskanie. Postanawiamy czekać do skutku, poza tym nie mamy wielkiego wyboru – zdążyłem już opróżnić pół butelki zimnego piwa, które wieziemy z „Die Oasis”, a nie ma nikogo, kto mógłby zmienić mnie za kierownicą.

Po niemal godzinie z kłębow kurzu na drodze wyłania się białe BMW. Wysiada z niego elegancki mężczyzna po czterdziestce z młodą dziewczyną. Qed i ja schodzimy z huśtawki i dołączamy do chłopaków. „Miejsca do spania? Owszem, są” mówi córka właściciela, a Tom i Maciek idą „obadać sprawę”. Miejsce wygląda na ekskluzywne, ale może pozwoli nam chociaż rozbić namioty i skorzystać z łazienki...

Po kilku minutach chłopcy wracają, na ich twarzach widać szerokie uśmiechy. „Nie uwierzycie, co jest w środku” – wołają. „Prawdziwy hotel!”. „Jaka cena?” – pytamy niecierpliwie. „Zaczęło się od stu pięćdziesięciu, ale stanęło na pięćdziesięciu. Chodźcie zobaczyć, jakie wnętrza”. Po przejściu przez atrium, na którego środku króluje fontanna z pływającymi w niej pięknymi rybami, wchodzimy przez przeszkłone drzwi wprost do obszernego pokoju połączonego z aneksem kuchennym. Czerwone ściany, wygodne kanapy i fotele, stoliki ze szklanymi blatami, stosy książek i prasy do czytania, w rogu wiklinowy kosz wypełniony ogromnymi szyszkami, obrazy na ścianach... Nie, to niemożliwe, żebyśmy znowu mieli TAKIE szczęście. Prawdziwy szok przeżywamy dopiero po wejściu do sypialni: utrzymana w spokojnej zieleni, z wielkim małżeńskim łóżem i drugim mniejszym, pościel niczym w osiemnastowiecznym polskim dworze szlacheckim, na nocnych stolikach egzemplarze Biblii w dwóch językach: angielskim i *afrikaans*. Całą ścianę naprzeciw łóżka zajmuje okno, przez które widać fontannę w atrium. W kącie pokoju sekretarzyk, na nim skrzyneczka z ptasimi piórami, obok szafa i półki na

osobiste rzeczy. Jest nawet telewizor schowany w przemyślnej szafce. A łazienka...! Wyłożona białymi kafelkami, z wanną, wielkim lustrem, ręcznikami dla gości... Pokój chłopaków jest na piętrze, trzeba wspiąć się do niego po stromych drewnianych schodach. Jest mniejszy od naszego, bez kuchni, jednak podobnie jak nasz wyposażony w łazienkę, utrzymany w tonacjach ciepłych brązów.

Właściciel zaprasza nas na grilla, który nosi tutaj nazwę *braai*. Siadamy w szóstkę w ogrodzie. „Może się czegoś napijecie?” – słyszymy pytanie. Po chwili w naszych dłoniach lądują szklanki z miejscową odmianą brandy – *brannawyne*. Jest dobre, lekko gorzkawe, z wyraźną „dymną” nutą – i mocne, choć prawie nie czujemy jego czterdziestu trzech procent. Podczas rozmowy, którą toczyliśmy, mężczyzna jest wyraźnie zdziwiony wiadomością, że nikt spośród naszych rodziców nie jest rolnikiem. Staramy się jednak w skrócie nakreślić model polskiego społeczeństwa i wsi w przededniu naszego wejścia do Unii Europejskiej, z którą nasz południowoafrykański farmer prowadzi wspólne interesy.

Gotowe danie prosto z rusztu zostaje zaniezione do obszernej jadalni, której ozdobą jest rodzinny portret niczym żywcem przeniesiony z tasiemcowej „Dynastii”. Miarkujemy się podczas jedzenia, chociaż oczy śmieją się nam do wspaniale opieczonego mięsiwa. Dokładka? Nie, dziękujemy. Ale ten aromat...

Mężczyzna i jego córka rozmawiają z nami po angielsku, między sobą natomiast w języku *afrikaans*, stanowiącym skomplikowany miszmasz głównie holenderskiego, francuskiego i angielskiego z wpływami kilku innych języków europejskich oraz dialektów miejscowych. Mimo że *afrikaans* i angielski są w świetle prawa RPA równorzędne, biali Afrykanerzy chętniej posługują się pierwszym z nich. Jest to jeszcze pozostałość z czasów, gdy władzę nad prowincjami przyłaskowymi przejęli Brytyjczycy. Burowie (dosłownie „farmerzy”, „rolnicy”) – potomkowie protestantów z Holandii i Niemiec oraz Huguenotów uciekających z Francji rządzonej przez Ludwika XIV – uważali stworzony przez siebie konglomerat języków za coś, co odróżniało ich od Anglików i z dumą posługiwali się własną mową, która w toku dziejów uległa wielu uproszczeniom i wpływom języków lokalnych.

Rozmawiamy z nimi o astronomii, a w głównej mierze o tym, co przygnało nas z drugiej półkuli. Z entuzjazmem opisujemy wrażenia towarzyszące zaćmieniu Słońca, pytamy też, skąd w otoczeniu domu „astronomiczne” motywy. „Moja mama się tym interesuje” – wyjaśnia dziewczyna, która jest wyraźnie podekscyt-

towana naszymi opowieściami o zaćmieniu, do obejrzenia którego gorąco ich namawiamy – okazja ujżenia tego najpiękniejszego z pięknych zjawisk Natury bez ruszania się z własnego kraju jest nadzwyczaj rzadka. Idąc za ciosem zapraszamy oboje na oglądanie nocnego nieba, które – o dziwo – jest dosyć pogodne, chociaż zgodnie z tym, co działo się we wcześniejszych dniach, powinno być zaciągnięte ciężkimi chmurami. Południowe niebo to dla nas prawdziwa zagadka, chociaż potrafimy wskazać na nim najbardziej znane konstelacje i nazwać najjaśniejsze gwiazdy. U nas, w Polsce, dalibyśmy prawdziwy pokaz. . .

Robi się chłodno, wracamy do środka. Jako że jest już dosyć późno, żegnamy się z gościnnymi gospodarzami i jeszcze chwilę spędzamy w swoim towarzystwie. Zmęczenie całym dniem jazdy daje w końcu znać o sobie. Niepomni słów dziewczyny o największej od 72 lat suszy nie potrafimy oprzeć się pokusie żyzia kąpieli w wannie. Przeskoczyliśmy dziś kolejne kilkaset kilometrów, jesteśmy coraz bliżej księżycowego cienia. . . Z tą myślą zasypiam pod miękką kołdrą w ogromnym małżeńskim łóżu – dziwne uczucie pod tyłu dniach spędzonych na karimacie.

Rozdział 12

„Proszę Państwa, oto... Wonderrr Vieew!”

Budzę się wcześniej od Qeda i przygotowuję sobie standardowe śniadanie: fasolę z puszki oraz chleb. Urozmaiceniem jest aromatyczna herbata w prawdziwej porcelanowej filiżance, zamiast wody mineralnej pitej codziennie rano prosto z plastikowej butelki. Kto wie, może to moja ostatnia herbata przed powrotem do Polski? Z tą myślą zaparzam sobie drugą filiżankę.

Gdy już wszyscy jesteśmy na nogach i przenosimy nasze rzeczy do samochodu, pojawia się właściciel informując, że razem z córką jedzie do kościoła, i że gdy wróci, chętnie oprowadzi nas po swojej farmie. Dziewczyna pojawia się tuż za nim, ubrana w elegancką długą sukienkę w kolorze landrynkowego różu. Wygląda naprawdę atrakcyjnie; stanowi zupełne przeciwieństwo mnóstwa innych kobiet i dziewcząt burskiego pochodzenia, które są – delikatnie ujmując – nie tak ładne i zgrabne jak nasza młoda gospodyni. Przyjmuje od nas zapłatę za nocleg i prosi o wpisanie się do księgi gości. Szukamy Polaków – ostatni (i chyba jedyni) byli tutaj przed nami ponad dwa lata temu. W Amapondo byliśmy za to pierwszymi obywatelami naszego kraju – a ktoś powiedział, że czasy pionierów już minęły. . .

Z przyjemnością skorzystalibyśmy z propozycji farmera, ale czas nas goni – jest już 1. grudnia – a do przejechania mamy jeszcze kawał drogi. Dziękujemy zatem za okazaną troskę i wspaniałą opiekę, machamy odjeżdżającemu gospodarzowi na „do widzenia” i wsiadamy do samochodu, w którym momentalnie robi się piekielnie gorąco. Słońce rzecz jasna grzeje bez opamiętania. Po kilkunastu minutach jedziemy już asfaltową drogą na północ, w kierunku Parku Narodowego imienia Krugera.

W okolicy miejscowości Machadodorp wjeżdżamy na kilka minut na autostradę N4 łączącą trzy państwa. Zaczyna się ona bowiem na granicy RPA z Botswaną i przez Pretorię biegnie aż do Maputo – stolicy Mozambiku. Chwilę później droga R36 prowadzi nas dalej na północ. W Lydenburgu skręcamy w prawo, by przez Przełęcz Długiego Toma (Long Tom Pass) gwałtownie zjechać wijącą się, stromą i wąską drogą do Sabie, gdzie robimy dłuższy przystanek na zakupy i posiłek.

Jesteśmy już w regionie zwanym „małym Drakensbergiem”, w odróżnieniu od jego „Wielkiego Brata” na granicy z Lesoto. „Mały Drakensberg” to z kolei część krainy geograficznej noszącej nazwę Transwału. Drogi – i rzeki – mają typowo górski charakter, gdyż teren gwałtownie opada ku rozległej nizinie. Bardzo strome, niemal pionowe ściany skalne mają prawie kilometr wysokości. Takie ukształtowanie terenu niejako „wymusza” istnienie wodospadów, których jest tutaj zatrzęsienie. Nie mamy czasu, by odwiedzić wszystkie – zresztą byłoby to mało przyjemne i musiałyby odbywać się „metodą japońską”, czyli: przyjeżdż – błyskawicznie obfotografuj z każdej możliwej strony – odjeżdż w poszukiwaniu następnego łupu; a i tak można byłoby strwonić na to cały dzień.

Kilka kilometrów za Sabie wjeżdżamy na szutrową drogę do Horseshoe Falls – czyli wodospadów o swojskiej nazwie „Podkowa”. Trudno jest powiedzieć, dlaczego noszą akurat taką nazwę, co absolutnie nie odbiera im uroku. „Podkowa” to kilka niewysokich, spadających oddzielnie kaskad. Zwiedzanie zajmuje nam niewiele czasu, gdyż od parkingu do wodospadów idzie się zaledwie parę minut. Co chwilę słyszymy, jak niebo rozdierają głuchoe odgłosy grzmotów – burza musi być niedaleko.

W promieniu kilku kilometrów od „Podkowy” mapa pokazuje jeszcze trzy inne wodospady. Decydujemy się na obejrzenie tego, który nosi nazwę Lone Creek Falls (w wolnym tłumaczeniu brzmi to „wodospad na samotnym strumieniu”). Daleko mu do ciszy i spokoju miejsca, w którym byliśmy niewiele minut wcześniej. Parking jest zastawiony samochodami i stoiskami sprzedawców pamiątek. Rodzinne pikniki ubarwia burska muzyka, której słuchanie jest dla mojego ucha wątpliwą przyjemnością. O niebo większą rozkosz sprawia wsłuchiwanie się w huk wąskiej kaskady, spadającej z wysokości 68 metrów wprost do niewielkiego jeziora. Fantastycznie ukształtowane i pofałdowane skały tworzą rozległą pionową ścianę, gdzieniegdzie porośniętą soczyście zieloną roślinnością. Ścieżki spacerowe są wyłożone kamieniami spójnymi cementem. Niemal pod naszymi stopami

kwitnie życie: powoli pełzną czarne, błyszczące skolopendry, ślimak wielkości dwóch naszych winniczków załatwia swoje potrzeby (stwierdzenie, że „wyszedł za potrzebą” jest w jego przypadku nieprecyzyjne – swój dom niesie przecież na grzbiecie. . .).

Musimy ruszać dalej, jako że jest już późne popołudnie, a od kanionu rzeki Blyde, gdzie chcemy przenocować, dzieli nas jeszcze kilkadziesiąt kilometrów. Niedaleko za miejscowością Graskop dojeżdżamy do jednego z kilku szeroko reklamowanych miejsc, skąd upajać się można widokiem ogromnej niziny, na której leży między innymi Park Narodowy imienia Krugera, dokąd cały czas podążamy. Okolice obfituje w przepiękne widoki, których podziwianie i dokumentowanie – niestety, niestety, po trzykroć niestety – skutecznie utrudnia nam nieciekawa pogoda. Powietrze jest wilgotne, całe niebo zaciągnięte jest deszczowymi chmurami. Na zachodzie i południu pada; na horyzoncie wyraźnie widać szarą draperię ulewy. Przez „Okno Boga” (God’s Window) spoglądamy wprost na morze roślinności, kotłującej się ciemnozieloną masą setki metrów niżej. Kolejne pasma wzniesień w oddali są jedynie konturami w różnych odcieniach zieleni i szarości. Fragment tego lasu deszczowego możemy obejrzeć podczas spaceru do punktu widokowego.

Równie ciekawa panorama roztacza się zapewne z miejsca noszącego bezpretensjonalne miano Wonder View, czyli po prostu „cudowny widok”. Nie jest nam jednak dane sprawdzić, jak wysoko można ocenić jego piękność – Słońce z trudem przebijające się przez deszczowe chmury szybko chyli się ku zachodowi. Jedziemy do Aventura Eco Blydepoort – wielkiego luksusowego kempingu, położonego na skraju kanionu Blyde, odbijając wcześniej w boczną drogę do niewielkiej miejscowości, gdzie w otoczonym kilkudziesięcioma tubylcami „bottle store” zaopatrujemy się w wieczorną porcję zimnego „Castle”. Namioty robimy o zmierzchu, a kolację w postaci bezkształtnej brązowej mazi przyrządzonej ze specjalów pochodzących z miejscowych sklepów spożywamy już po ciemku. Szokuje nas wygląd łazienek: białe kafelki od podłogi do sufitu, porcelanowe umywalki; jest nawet wanna! Osobno umieszczone są zlewozmywaki, przy których entomolog mógłby spędzić całą noc – w pianie i wodzie pozostałych po zmywaniu uwięzione są niezliczone owady. Kto wie – może są wśród nich takie, o których istnieniu nauka nie ma pojęcia. . . ?

Rozdział 13

Trzy tygodnie bez chmur, rok bez deszczu

Jako że jednogłośnie postanawiamy wstać wcześniej rano, by mieć więcej czasu na oglądanie okolicznych atrakcji, idziemy spać dosyć wcześniej. Budzimy się grubo przed siódmą i od razu rozkładamy namioty w nasłonecznionym miejscu, by wyschły, podczas gdy my zażywamy porannej toalety i wcinamy nieśmiertelną fasolę.

Już o ósmej jesteśmy w drodze. Pierwszym punktem naszego dzisiejszego programu są „Trzy rondawele” – formacja skalna do złudzenia przypominająca okrągłe tradycyjne afrykańskie chaty. Pogoda jest dzisiaj o wiele lepsza, na niebie ani śladu chmur, tylko w powietrzu wisi coś na kształt delikatnej mgiełki. Kanion wijącej się daleko w dole rzeki Blyde robi niezwykle wrażenie. Jest wcześniej, dzięki czemu jesteśmy tutaj zupełnie sami, mogąc w spokoju podziwiać cuda przyrody. Na kamieniach wygrzewają się kolorowe jaszczurki. Z dna kaniomu wyrasta olbrzymi długi ostaniec o surowych, miejscami pionowych ścianach. Meandrująca rzeka wpływa do jeziora o turkusowej barwie, by po przepłynięciu przez turbiny elektrowni wodnej powrócić do swego koryta.

Robi się coraz bardziej gorąco. Kierujemy się teraz na południe i po kilkunastu minutach stajemy przed szlabanem, blokującym wjazd do właściwego rezerwatu rzeki Blyde, którego oficjalna nazwa brzmi Blyde River Canyon Nature Reserve. Cały kanion ma około trzydziestu kilometrów długości i jest uznawany za jedną z większych atrakcji turystycznych najbogatszego państwa Afryki.

Mimo dość wczesnej pory trudno jest znaleźć ocienione miejsce do zaparkowania auta. Okoliczne punkty sprzedaży pamiątek i napojów przeżywają obłędzenie, mnóstwo ludzi podąża głównym szlakiem spacerowym ku dziwowi natu-

ry noszącego nieco enigmatyczne miano Bourke's Luck Potholes. Są to ciekawe twory o cylindrycznym zazwyczaj kształcie, wypłukane przez wiry rzek Blyde i Treur. Przy odrobinie wyobraźni przypominają ser szwajcarski.

W słowniku znajdziemy przynajmniej dwa wyjaśnienia wyrazu „pothole”. W znaczeniu geologicznym są to grotty; jednak znak „Potholes” napotkany przy asfaltowej szosie wcale nie oznacza, że w pobliżu znajduje się atrakcja turystyczna. Wręcz przeciwnie – od takich miejsc trzeba trzymać się możliwie daleko, chyba że ktoś uznaje za interesujące i pouczające doświadczenie wjechanie kołem w głęboką wyrwę w nawierzchni.

Ciekawe jest również pochodzenie nazw Blyde i Treur. Przewodnik „Lonely Planet” wyjaśnia to tak: Podczas jednej z wielkich wędrówek w 1840 roku, pionierzy (zwani Voortrekkers) prowadzeni przez Hendrika Potgietera (zginął on później w walce o tereny osadnicze, stoczonej z plemieniem Makapan na północy kraju) wyruszyli z Potchefstroom (ok. 100 km na zachód od Johannesburga), by wytyczyć szlak nad morze. Kiedy doszli do krawędzi Transwalu okazało się, że ich wozy nie mogą jechać dalej. Potgieter wraz z częścią osadników pojechał dalej konno do zatoki Delagoa.

Gdy nie powrócili w zapowiedzianym wcześniej dniu, główna część wyprawy doszła do wniosku, że Potgieter i jego towarzysze nie żyją. Na ich cześć rzece, nad którą obozowano, nadano nazwę Treur (Żałoba). W drodze powrotnej do Potchefstroom osadników dogonił Hendrik Potgieter. Spotkanie nastąpiło w pobliżu innej rzeki, która od tej chwili nosi miano Blyde (Radość).

Nad głębokimi kanionami przerzucone są wąskie łukowate mostki, dzięki którym szybko można zmieniać punkty obserwacyjne. Na kamieniu przysiadła na chwilę jaskrawo ubarwiona ważka z białymi plamkami na głowie. W licznych zagłębieniach, które po tysiącach lat staną się grotami takimi jak te, które widzieliśmy chwilę wcześniej (oczywiście jeśli wcześniej skał nie zeszlifują buty turystów), można dostrzec małe rybki, uwięzione bez możliwości przedostania się do rzeki. Jednego ze strażników pilnujących, by nikt nie śmiecił na terenie rezerwatu, nie kapał się w rzece ani nie kusił się na mnóstwo innych zakazanych czynności pytamy o trasę turystyczną prowadzącą wzdłuż kanionu. Okazuje się, że musimy uiścić dodatkową opłatę za uzyskanie pozwolenia wejścia na szlak. Jest on co prawda przewidziany na sześciogodzinny marsz, a my mamy do dyspozycji mniej niż połowę tego czasu, niemniej jednak decydujemy się na krótki wypad.

Słońce stoi niemal w zenicie, a my nie mamy już ani kropli wody. Tom i Fachowy startują ostro i po kilkunastu minutach wyprzedzają Qeda i mnie o dobre kilkaset metrów. Skwar odbiera chęć na wędrowkę i zmusza do zwolnienia kroku. Wędrujemy przez prawdziwe królestwo termitów, a raczej między dziesiątkami oddzielnych państw-miast – jako astronom mógłbym nawet zaryzykować określenie „wszechświaty równoległe”.

Fachowy nie wytrzymuje tempa, które dla wysokiego Tomka nie wydaje się być czymś nadzwyczajnym. Spotykamy go siedzącego w skąnym cieniu rzuca-

nym przez rachityczne drzewko. Qed postanawia odpocząć, ja natomiast idę dalej. W pewnej chwili ścieżka zaczyna prowadzić w dół, najwyraźniej zmierzając ku rzece. Czas płynie jednak nieubłaganie i nadchodzi chwila, w której musimy zawrócić. Tom zniknął gdzieś w kolczastym gąszczu akacji. Qed, który dołączył do mnie chwilę wcześniej, zaczyna piąć się z powrotem w górę; powoli podążam za nim. W panującym upale droga powrotna na parking wcale nie wydaje się krótsza. Powietrze jest nieruchome i suche, oddychanie sprawia niejakie kłopoty. Marzę tylko o tym, by napić się wody, która w samochodzie zapewne nagrzała się do temperatury herbaty w termosie. Tomek dogania nas dokładnie u wejścia na szlak, stawiając długie kroki. Ostatni rzut oka na „ser szwajcarski” – i już otwieram drzwi Nissana. Bucha z niego żar niczym z hutniczego pieca; woda oczywiście prawie się zagotowała i picie jej nie należy do przyjemności. Daje jednak chwilową ulgę i jedynie to się teraz liczy.

Po złapaniu oddechu i przewietrzeniu samochodu wyruszamy w dalszą drogę. Musimy zawrócić, ponownie przejechać obok naszego wczorajszego kempingu i podążać dalej na północny wschód. Wcześniej jednak próbujemy zaopatrzyć się w wodę i coś do jedzenia. Jak się wkrótce okazuje, ani jedno, ani drugie nie jest łatwe do zdobycia. Krążymy po dwóch kolejnych miejscowościach, wzbudzając spore zainteresowanie tubylców. Najwyraźniej biali nie zaglądają tutaj zbyt często, mimo faktu, że jest to region o wybitnie turystycznym charakterze. W każdym ze sklepów, do jakich wchodzimy, jedynym łatwo dostępnym towarem jest „Coca-Cola” w butelkach plastikowych i szklanych, mniejszych i większych, w puszkach, a wszystko to prosto z lodówki. Poza tym półki świecą pustkami. Chleba ani wody nie uświadczysz.

Tutaj mała dygresja na temat „Coca-Coli”. Po pierwsze: szybko zauważyłem,

że ta, którą kupujemy w Afryce (nie tylko w RPA, ale i w Zambii) gasi pragnienie znacznie skuteczniej niż ta, którą od czasu do czasu pijam w Polsce. Nie wiem jednak, co jest tego przyczyną. Podobne odczucia ma też Tomek. Po drugie: dopiero w Afryce widać, jak potężnym koncernem jest „Coca-Cola”. Nie wiem, czy mogę zaryzykować określenie „monopolista”, ale dobrze znana z Polski „Pepsi” i jej produkty wydają się być tutaj zupełnie nieznanne. Po trzecie, jak to ujął Tomek: „w sklepie może nie być chleba i wody, ale jest nie do pomyślenia, żeby nie było «Coca-Coli»”. Od siebie dołożyłbym oprócz „Coca-Coli” jeszcze jeden wyrób: piwo – można je dostać w każdej, nawet najmniejszej miejscowości.

Przez przełęcz Abel Erasmus i pierwszy w naszej podróży po RPA tunel jedziemy wciąż na północny wschód, aż do miejscowości Phalaborwa u wrót Parku Narodowego imienia Krugera. Miasto jest dużym ośrodkiem wydobywania rud miedzi i żelaza, czynnym od dwunastu stuleci. Tam, w nieznośnej wręcz spiekocie, robimy ostatnie większe zakupy i wymieniamy twardą walutę, która ostatnio jakby nieco zmiękła. Cała operacja trwa bardzo długo, jesteśmy odsyłani od jednego okienka do drugiego, wymaga się od nas paszportu, podania numeru telefonu (urzędniczka nie chce mi wierzyć, że nie mam telefonu), wykonywanego zawodu, adresu poczty elektronicznej. . . Tylko czekam, kiedy spyta mnie o numer buta i to, czy będąc dzieckiem wyjadałem konfitury ze spiżarni. Nareszcie koniec przesłuchania; opuszczamy bank z grubym plikiem randów.

Brama wjazdowa do parku znajduje się na rogatek miasta, tuż za bazą wojskową. Krótko przed wjazdem tankujemy do pełna przypuszczając, że ceny paliwa w parku będą wyższe niż poza nim. Jak się później okaże, z nieznanym nam przyczyn jest odwrotnie.

Kilka minut zajmuje nam załatwianie formalności związanych z wjazdem w granice parku. Uiszczamy opłatę za samochód – 24 randy i po 30 randów od osoby. Wydaje mi się to śmiesznie niską ceną w porównaniu z Zambią, gdzie w ubiegłym roku płaciliśmy po 20 dolarów za jeden dzień pobytu – a tutaj wnosimy opłatę jednorazowo i możemy przebywać w parku kilka kolejnych dni. Strażniczka poleca otworzyć bagażnik, po kres możliwości załadowany naszymi bagażami. Dobrze, że nie każe nam ich wypakować. . . Pyta nas o przewożoną broń. Ależ skąd, jesteśmy pokojowo nastawieni, do nikogo ani niczego nie mamy zamiaru strzelać! Powoli wtaczamy się do parku.

Park Narodowy imienia Krugera jest powszechnie znany na świecie i uważany

za jeden z najlepiej rozwiniętych pod względem infrastruktury. Co roku odwiedza go niemal milion turystów. Jest jednocześnie najstarszym obszarem chronionej przyrody w Afryce, założonym w 1898 roku; dopiero później został przemianowany na park narodowy. Jego twórcą był pierwszy prezydent ówczesnej Republiki Południowoafrykańskiej – niepodległego państwa utworzonego w 1883 roku, jednego z poprzedników dzisiejszej Republiki Południowej Afryki. Przez sto z górą lat swego istnienia znacznie się rozrósł, osiągając obecnie powierzchnię niemal 20 tysięcy kilometrów kwadratowych – obszar równy temu, jaki zajmuje obecne województwo dolnośląskie. Do parku przylegają ponadto niewielkie tereny będące w rękach prywatnych, również nastawione na obsługę ruchu turystycznego. W parku żyją zwierzęta należące do tak zwanej „Wielkiej Piątki” Czarnego Łądu: lwy, słonie, bawoły, lamparty i czarne nosorożce. Poza nimi ujrzyć można – jak władze parku deklarują w reklamach – żyrafy, hipopotamy, krokodyle nilowe, różne gatunki antylop i całe zatrzęsienie mniejszych zwierząt, łącznie około 850 gatunków, z czego sześćdziesiąt procent stanowią ptaki. Obok fauny licznie reprezentowana jest flora, o charakterze wybitnie sawannowym.

Jak wspominałem, infrastruktura w parku jest bardzo rozwinięta. Ma to zarówno swoje dobre, jak i złe strony. Dobre to między innymi te, że obozy, których w granicach parku jest kilkadziesiąt, obfitują we wszelkie cywilizacyjne udogodnienia, do jakich przyzwyczajeni jesteśmy my – przybysze z zachodniego świata: energię elektryczną na zdecydowanej większości miejsc kempingowych, o luksusowo wyposażonych domkach nie wspominając, bieżącą wodę (ciepłą i zimną), świetnie zaopatrzone sklepy, stacje paliw, nawet dostęp do Internetu. Główna droga prowadząca przez park z południa na północ jest wyasfaltowana, większość bocznych dróg jest ubitych. Łączna długość sieci drogowej w parku Krugera wynosi prawie dwa tysiące kilometrów – całkiem niezły wynik! W granicach parku obowiązuje ograniczenie prędkości do 50 km/h na drodze głównej i 40 km/h poza nią oraz całkowity zakaz opuszczania samochodu z wyjątkiem wyznaczonych miejsc; poza tym zwyczajowo przyjęte zakazy: śmiecenia, karmienia zwierząt, rozpalania ognisk i hałasowania. Straż parkowa pilnuje, by te zakazy i nakazy były przestrzegane. Do złych stron zaliczyłbym to samo, co wyżej, czyli dostęp do zdobyczy cywilizacyjnych. Przy tak silnie zorganizowanym i sformalizowanym przedsięwzięciu zwierzęta wydają się być jedynie dodatkiem, a nie właściwym celem przyjazdu. Tabuny samochodów przetaczające się drogami nie robią na ro-

dowitych mieszkańcach parku większego wrażenia: zebry i antylopy spokojnie oskubują krzewy rosnące tuż przy drodze, podobnie jak bawoły, pasące się niemal na wyciągnięcie ręki. Słoń przekraczający drogę wydaje się nie zwracać uwagi na nasz samochód. Staram się utrzymać dużą odległość od poprzedzających nas samochodów, co jest o tyle łatwiejsze, że niektórzy kierowcy są wyraźnie zniecierpliwieni moją powolną, aczkolwiek i tak niezbyt przepisową jazdą (na liczniku mam bowiem 60 km/h) i wyprzedzają nas od czasu do czasu. Kilkakrotnie widzimy nawet cysterny z paliwem, ciężarówki z zaopatrzeniem i wielkie turystyczne autokary, toczące się leniwie lub tarasujące wąską drogę, podczas gdy jego pasażerowie oglądają jakieś zwierzę.

W Zambii zwiedzanie parku kosztowało co prawda znacznie więcej, infrastruktura nie umywała się do południowoafrykańskiej, ale tam czuło się coś, co dla mnie stanowiło „prawdziwą Afrykę”. Dodatkowego smaczku przydały takie szczegóły jak otwarte ze wszystkich stron kempingi, po których swobodnie przechadzały się słonie i hipopotamy – w RPA rzecz nie do pomyślenia, gdyż wszystkie obozy są ogrodzone wysokimi płotami i strzeżone.

Obszar, przez jaki jedziemy, to typowa sawanna. Wyraźnie widać efekty suszy, o jakiej mówiła mi pracownica stacji paliw w Phalaborwa. Na tym terenie nie padało ponoć od początku roku, a ostatnie trzy tygodnie stoją pod znakiem bezchmurnego nieba. Co to oznacza w praktyce, mamy okazję zarówno doświadczyć na sobie, jak i obejrzeć. Trawy i ziemia są bardzo wyschnięte, liście na drzewach straciły soczystość i wydają się być jakby przybrudzone, zmęczone upałem. Nie powiem, że nie ucieszyliśmy się z zasłyszanej wiadomości – to dobrze wróży nadchodzącemu zaćmieniu i naszym szansom na jego ujrzanie na czystym niebie. Jednak upał mógłby nieco zelżeć... Mimo całkowicie opuszczonych szyb w samochodzie jest potwornie gorąco, nie chłodzi nas pęd powietrza – jedziemy zbyt wolno. Od czasu do czasu uruchamiamy klimatyzację, ale na niewiele się to zdaje.

Do obozu Letaba leżącego niemal na tym samym co Phalaborwa równoleżniku, gdzie spędzimy dzisiejszą noc, jest od bramy parku 50 kilometrów – godzina jazdy. Niemniej jednak zatrzymujemy się często, by popatrzeć to na słonia dostojnie idącego wśród niewysokich drzew, wychylającą się zza krzewu żyrafę, pijące wodę stado bawołów, nie mogącą się zdecydować na przekroczenie drogi antylopie *kudu*...

Do Letaba Restcamp docieramy około wpół do szóstej. Miejsca jeszcze są,

o co obawialiśmy się wcześniej. Sezon urlopowy zaczyna się w połowie grudnia, ale zaćmienie przyciąga tabuny turystów z całego świata, choć głównie są to mieszkańcy RPA, którzy „wyskoczyli” na kilka dni, by obejrzeć niezwykle zjawisko we własnym kraju. Szybko rozbijamy namioty i idziemy się odświeżyć. Później odwiedzamy sklep, w którym widać już przedzaćmieniową gorączkę: koszulki, czapki, kubki, breloczki do kluczy – wszystko zaopatrzone w oficjalne logo „zaćmienie Słońca nad Parkiem Krugera”.

Gdy w końcu zasiadamy z mapami, wykresami i tabelami w rękach do planowania jutrzejszej trasy i wyboru miejsca na obserwacje zaćmienia, jest już zupełnie ciemno. Pomimo faktu, że Słońce zaszło prawie cztery godziny temu, temperatura jest zabójcza: 40 stopni Celsjusza! Takich tropików jeszcze tutaj nie doświadczyliśmy.

Ostateczne ustalenia są takie: wcześniej rano zwijamy namioty i ruszamy na północ w poszukiwaniu odpowiedniej lokalizacji. Mimo iż wszelkie znaki na ziemi i niebie wskazują, że oba duże obozy w pasie całkowitości – Shingwedzi i Punda Maria – są wypełnione po brzegi, spróbujemy dopytać się o miejsce choćby na tę jedną, najważniejszą noc przed zaćmieniem. Na nocleg poza oficjalnymi obozowiskami nie ma co liczyć, a tym bardziej na to, że 4. grudnia rano po prostu dojedziemy do pasa całkowitego zaćmienia (teraz jesteśmy poza nim), stanimy na poboczu i wysiądziemy z samochodu. Władze parku przygotowały bowiem trzy „urzędowe” miejsca w pasie, gdzie można będzie bezpiecznie wysiąść z samochodu i obejrzeć zaćmienie. Z kilku względów takie rozwiązanie nam nie odpowiada. Pierwszym i zasadniczym jest fakt, iż żadne z owych miejsc nie leży dokładnie na centralnej linii pasa, dzielącej go na dwie równe części – północną i południową – na której faza całkowita trwa najdłużej. Drugą rzeczą, która nas martwi, jest to, że nawet jeśli zdecydowalibyśmy się oglądać zaćmienie z jednego z wyznaczonych miejsc, to do najbliższego mamy z Letaba ponad sto kilometrów, co przy normalnym tempie podróży zajmie nam dwie godziny, i to przy założeniu, że nie zatrzymamy się ani razu. Trudno przyjąć takie przypuszczenie za słuszne: w drodze na pewno dostrzeżemy zwierzęta, które będziemy chcieli obejrzeć, a jeśli nie my, to inni zwiedzający, którzy będą tarasować drogę. By znaleźć dobre miejsce na wyznaczonych przydrożnych parkingach, trzeba będzie wyjechać bardzo wcześniej – ale i tak nie wcześniej niż o 4:30, gdyż właśnie wtedy otwierane są bramy obozu. Będziemy zatem na miejscu około 6:30 – 7:00, i to w najbardziej

optymistycznej wersji: pusta droga, bez zatrzymywania, bez nieprzewidzianych przeszkód w rodzaju awarii samochodu czy innego nieszczęścia. . .

Na to wszystko nakłada się coś, czego żadna ludzka siła nie jest w stanie pokonać: Natura, a mówiąc ściślej – czas, w jakim będzie widoczne zaćmienie. Tak zwany pierwszy kontakt, czyli początek zaćmienia całkowitego, nastąpi niespełna kwadrans po siódmej – zdecydowanie zbyt mało mamy czasu pomiędzy spodziewaną chwilą dotarcia na miejsce i początkiem zjawiska, a dalsze szukanie miejsca jest już wówczas pozbawione sensu.

Emocje związane z nadchodzącym zjawiskiem i gorącą dyskusją chłodzimy niezawodnym „Castle”. Z głową nabitą myślami kładę się spać, czekając na wielki dzień – ten, na który czekaliśmy półtora roku. . . Zgodnie z planem wstajemy wcześniej rano. Podczas składania namiotów wdajemy się w rozmowę z mężczyzną, który przyjechał wraz z rodziną i rozbija namiot w zwolnionym przez nas miejscu. Do reszty rozwiewa on nasze nadzieje na nocleg w Shingwedzi albo Punda Maria. Co więcej, twierdzi on, iż władze parku zachowały się bardzo nieładnie wobec turystów indywidualnych, sprzedając miejsca dużym firmom wycieczkowym długo przed oficjalnym terminem rozpoczęcia rezerwacji miejsc w sezonie. Żegnamy się z nim, życząc sobie nawzajem powodzenia w obserwacjach.

Pogoda jest identyczna jak wczoraj: skwar, duchota i zupełny brak chmur. Jadąc powoli przez park rozważamy nasz alternatywny „plan B” – opuszczenie parku jeszcze dzisiaj (co będzie musiało nastąpić, jeśli nigdzie nie znajdziemy miejsca noclegowego) i obejrzenie zaćmienia poza nim. Wyszukanie odpowiedniego miejsca w sytuacji, gdy dysponujemy odbiornikiem GPS, nie powinno nastęrczać trudności.

Kilkanaście kilometrów za Letaba przekraczamy zwrotnik Koziorożca, co potwierdza także odczyt z GPS. Miejsce to zaznaczone jest ogromnym splekanyim głazem. Można opuścić samochód, co rzecz jasna skwapliwie czynimy, ustawiając się do pamiątkowej fotografii. Chwilę później inni turyści wysypują się z samochodów.

Po dłuższym czasie mijamy pierwsze miejsce wyznaczone do obserwacji przez władze parku – Dzombo Viewing Site. Są to po prostu dziesiątki palików wbitych w ziemię i połączonych plastikową taśmą. Co kilkaset metrów stoją plastikowe toalety oraz punkty pomocy medycznej.

W Shingwedzi nic nie wskazuje na to, że jest to po prostu wielki kemping

w środku sawanny, po której swobodnie hasają dzikie zwierzęta. Przypomina to raczej festyn w małym miasteczku: dziesiątki samochodów, setki ludzi, mnóstwo policji. . . Wizyta w recepcji potwierdza nasze obawy: wolnych miejsc nie ma od dawna, podobna sytuacja panuje w innych obozach na północy parku.

Dłuższą chwilę zajmuje mi walka z komputerem i aparatem, w końcu jednak udaje mi się w ciągu kwadransa przesłać (za naprawdę paskarską cenę) do Polski kilkanaście zdjęć. Zyskuję dzięki temu cenne miejsce na karcie pamięci. Mimo iż obiecałem sobie, że tym razem nie będę robił żadnych zdjęć podczas zaćmienia, dochodzę do wniosku, że „przezorny zawsze ubezpieczony” . . . Tomek o mały włos nie staje się właścicielem akra ziemi w Afryce – oczywiście tylko tytularnym, „za jedyne pięćdziesiąt dolarów”, jak zachwala agitująca kobieta. W niewesołych nastrojach opuszczamy Shingwedzi. Do najbliższej bramy wyjazdowej z parku mamy prawie siedemdziesiąt kilometrów. Po drodze mijamy dwa kolejne miejsca do obserwacji: Nwarihlangani i Boyela.

Przed Punda Maria błędzimy kilkanaście minut. W obozie panują warunki do złudzenia podobne do tych, które znamy już z Shinwedzi: tłum, ścisk, gorączkowe poszukiwanie miejsc (nie jesteśmy jedyni), długie ogonki w recepcji, sklep wypełniony „zaćmieniowymi” gadżetami. . . Nic tu po nas.

Przy wyjeździe z parku ubezpieczamy się na wypadek, gdybyśmy chcieli do niego wrócić po zaćmieniu, uzyskując dodatkową pieczętkę w recepcji. Napisy na koszulkach wielu gości niedwuznacznie wskazują, po co tutaj przyjechali: „Real eclipse chasers were in Siberia in 1997” („Prawdziwi łowcy zaćmień byli na Syberii w 1997”).

Na mapie wyznaczamy cztery potencjalne lokalizacje, skąd możemy obejrzeć zaćmienie. Wszystkie leżą rzecz jasna na linii centralnej, która w dwóch miejscach przecina drogi główne, a pomiędzy nimi dwie boczne – sądząc z naszych wcześniejszych doświadczeń będą to drogi bite. Postanawiamy zrobić zakupy w najbliższym mieście – Thohoyandou – i niezwłocznie ruszyć dalej tak, by przejechać przez wszystkie cztery miejsca, a potem wybrać najlepsze i z niego obejrzeć zaćmienie.

Thohoyandou okazuje się być średniej wielkości, źle rozplanowanym urbanistycznie miastem, w którym łatwo się zgubić, a trudno odnaleźć. Nie robi na mnie dobrego wrażenia, niemniej jednak czuję się w nim stosunkowo bezpiecznie. Jest już późno; po opuszczeniu Thohoyandou i przejechaniu przez przyległe

do niego Sibasa bez żadnego ostrzeżenia zjeżdżamy z asfaltu na nierówną drogę ziemną. Nisko wiszący dysk Gwiazdy Diennej zalewa ciepłym, przyjemnym dla oka światłem lateryt drogi, nadając mu gorącą i czerwoną, niczym rozgrzana lava, barwę. Mam wielką ochotę zrobić zdjęcie, ale czas goni nas bardziej niż kiedykolwiek. Wkrótce nadejdzie noc, a wtedy trudno będzie prowadzić samochód, nie mówiąc już o wypatrywaniu odpowiedniego miejsca do przeprowadzenia obserwacji.

Droga jest wybitnie złej jakości, bardzo kamienista i pełna wybojów i wykrotów, na których co chwilę podskakuje nasz mocno obciążony Nissan, wydając przy tym przyprawiające o dreszcze zgrzyty, trzaski i głośnie uderzenia. Z obawy o uszkodzenie podwozia staram się nie przekraczać prędkości 40 km/h. Zapadający szybko mrok i niezbyt odpowiedni do obserwacji, górzysty teren zmusza nas do zmiany wcześniejszych zamierzeń. Od czasu do czasu przejeżdżamy przez zagubione wioski, ścigamy się z rozklekotanym autobusem, wzniecającym na drodze olbrzymi tuman kurzu. . . Dwa potencjalne stanowiska obserwacyjne odrzuciliśmy po ich pobieżnym obejrzeniu, do trzeciego z pewnością nie dotrzemy, pozostaje ostatnie, na przecięciu linii centralnej z drogą R525, na mapach zaznaczoną jako asfaltową.

Okolice, przez jaką podróżujemy, obfituje w jeziora i rzeki oraz zalesione góry z jaskiniami. Wszystkie te miejsca, według miejscowych legend, zasiedlone są przez duchy, zarówno całkowicie niezależne i żyjące własnym życiem jak elfy, jak i dusze przodków mieszkańców tych terenów. Do niektórych miejsc, takich jak Święty Las, który mijamy w odległości niespełna pięciu kilometrów, czy jeziora Fundudzi, mają dostęp tylko wtajemniczeni. W Mutale, niedaleko Świętego Lasu, do dziś odbywają się obrzędy płodności, podczas których dziewczęta z ludu Venda przechodzą inicjację przygotowującą je do dorosłości. Wielkim szacunkiem cieszą się tradycyjne metody leczenia, na straży których stoją zielarze oraz szamani rozmawiający z duchami i czerpiący od nich tajemną wiedzę.

Po kilkudziesięciu kilometrach prawdziwego „Camel Trophy” (dla samochodu tej klasy co nasz jest to odpowiednie określenie) ponownie wjeżdżamy na asfalt. Co za ulga. . . Dla pewności oglądam – kolejny już dzisiejszego wieczoru raz – opony i tę część podwozia, do której mogę dotrzeć. Samochód wygląda na sprawny, wskaźniki nie alarmują, kontrolki świecą uspokajająco. . . Możemyjechać dalej na zachód, w kierunku Messyny.

Pozwalam sobie na rozwinięcie większej prędkości. Napięcie, które czułem podczas jazdy przez ostatnie kilka godzin, powoli opada; rozluźniam się lekko. Droga jest zupełnie pusta, z rzadka tylko mijamy się z innymi pojazdami. Zajęty wypatrywaniem dziur w nawierzchni i innych słabo widocznych przeszkód na poboczach o mały włos unikam brzemiennego w skutki zdarzenia. W długich światłach coś majaczy niewyraźnie. Odruchowo zdejmuję nogę z gazu – i gwałtownie naciskam na hamulec. Zatrzymujemy się – dzięki ABS bez pisku opon – kilka metrów przed stadem krów przechodzących przez jezdnię. Uff, było blisko – kostucha nigdy nie śpi...

Po kilkudziesięciu kilometrach dostrzegamy po lewej stronie drogi jakieś światło. Ognisko, kilka samochodów, jacyś ludzie... Niespełna dwieście metrów wcześniej GPS wskazał, że właśnie przekraczamy linię centralną. Nie zastanawiając się długo zjeżdżam w łagodne zagłębienie terenu. Chyba jesteśmy na miejscu; to niemal ten sam południk, na którym leżą Sankt Petersburg, Kijów i Odessa.

Biali mężczyźni skupieni wokół ogniska to miłośnicy astronomii z Afryki. Jeden z nich przywiózł ze sobą „ciężką artylerię” – czterdziestocentymetrowej średnicy teleskop firmy „Meade”, prawdziwe cacko. I pomyśleć, że to amatorski sprzęt... Informują nas, że po drugiej stronie drogi znajduje się obóz NASA, ale gdy chcieli dołączyć do naukowców, zażądano od nich prawdziwie astronomicznej opłaty. Ech, ci Amerykanie... My na szczęście możemy stać w wybranym miejscu zupełnie za darmo.

Niebo jest przepiękne, bez jednej chmurki, gwiazdy wydają się wisieć tuż nad głową. Na zachodzie widać rzadkie i piękne zjawisko – jasny pas nachylony do horyzontu i delikatnie zanikający w miarę oddalania się od niego. To tak zwane światło zodiakalne – światło Słońca rozproszone na pyłe międzyplanetarnym, zawieszonym w płaszczyźnie ekliptyki.

Chwilę rozmawiam z Qedem, potem rozkładam fotel w samochodzie i próbuję zasnąć przy akompaniamencie muzyki płynącej z słuchawek. Nie jest to łatwe, w aucie jest gorąco i duszno. Wreszcie decyduję się na to, czego chciałem spróbować wybierając się do Afryki – noc pod gołym niebem. Qed dołącza do mnie; rozkładamy karimaty wprost na ziemi, wsuwamy się do śpiworów i wpatrzeni w cudowne południowe niebo niepostrzeżenie zapadamy w sen.

Rozdział 14

Dzień, który zaczął się dwa razy

Gdy budzę się krótko po wschodzie Słońca, jestem doskonale wypoczęty. Miejsce, w którym rozłożyłem karimatę okazało się być przyjazne i nie obdarzyło mnie żadnymi dolegliwościami ani nieproszonymi gośćmi w rodzaju gnieżdżących się w uchu owadów. Noc była bardzo ciepła. Mimo że prawie całe niebo jest jeszcze błękitne, nad zachodnim widnokresem pojawiają się drobne chmurki. Zdumiewająca jest szybkość, z jaką się rozwijają. Dosłownie pół godziny później całe niebo jest nimi pokryte. Rok bez deszczu, a nawet trzy tygodnie bez chmur nie mogły trwać wiecznie. Chociaż mówiąc między nami, mogły poczekać jeszcze kilka godzin – ot, złośliwość losu. . .

Mimo iż Fachowy głośno wyraża nadzieje na poprawę pogody albo chociaż dziury w pokrywie chmur, godzę się z faktem, że drugie z trzech całkowitych zaćmień, których będę świadkiem, obejrzę na zachmurzonym niebie. Pozostaje mi mieć nadzieję, że następne – może na Antarktydzie za rok, może w Afryce za trzy lata? – uraczy mnie lepszą aurą.

Nareszcie mam okazję zaznajomić się z okolicą, w jakiej jesteśmy. Z mapy wynika, że stoimy w bezpośredniej bliskości Njelele – prawego dopływu rzeki Limpopo, stanowiącej granicę między RPA i Zimbabwe. W czasie, gdy spałem, po obu stronach drogi ustawiły się rzędy samochodów; teren, na którym ulokowali się badacze z NASA wygląda teraz jak parking przed centrum handlowym w sobotnie popołudnie. Wokół nas ludzie rozstawiają sprzęt, wyciągają turystyczne krzeselka i stoliki, jedzą śniadanie. . . Mimo że jest zaledwie kwadrans po szóstej, temperatura jest doskonała do normalnego funkcjonowania – 24 stopnie Celsjusza.

Pierwszy kontakt – początek zaćmienia częściowego. Przez mylarowy filtr spoglądam od czasu do czasu na niebo; zazwyczaj jednak ochrona ta jest zbędna –

chmury są tak gęste, że bez większych obaw o uszkodzenie wzroku można obserwować, jak Srebrny Glob stopniowo zasłania coraz większą część tarczy Gwiazdy Diennej. Trzeba jedynie uważać na niespodziewanie pojawiające się niewielkie przerwy w chmurach. Ponieważ jesteśmy na południowej półkuli, Księżyc pojawił się z lewej strony Słońca wspinającego się nad północny horyzont – odwrotnie niż w naszych szerokościach geograficznych, gdzie Słońce góruje na południu. Dookoła mnie trzaskają migawki; również ja nie potrafię oprzeć się pokusie zrobienia choćby kilku zdjęć – mimo iż wcześniej obiecałem sobie, że podczas tego zaćmienia nie będę zajmował się fotografowaniem.

Co pewien czas sprawdzam temperaturę powietrza. Jest niezmienna, wciąż 24 stopnie, inaczej niż półtora roku temu w Zambii, gdy ochładzało się wraz ze wrażliwą fazą zaćmienia, a więc i zmniejszającą się widoczną powierzchnią Słońca grzejącego Ziemię. Wpływ na takie, a nie inne wskazania termometru ma bez wątpienia obecność powłoki chmur. Robi się jednak chłodniej, wiatr się wzmacnia – często raportowane zjawisko podczas głębokich zaćmień, które zauważyłem także w Zambii.

Kilka minut przed kulminacją oddalam się, by w samotności przeżyć emocje towarzyszące zaćmieniu całkowitemu i jego nieopisane piękno. Znajduję dogodne miejsce w szerokiej przerwie między samochodami na poboczu, wśród uschniętych traw, tuż przy drewnianym słupie telegraficznym. Jest już wyraźnie ciemniej, kontrasty wciąż się pogłębiają, cienie są ciężkie, mam wrażenie, że można je kroić nożem. Spoglądając na ledwo już widoczny rąbek słonecznego dysku słyszę dziwny odgłos, coś jakby odległe zawodzenie. Rozglądam się w poszukiwaniu źródła dźwięku, ale nie zauważam niczego, co wzbudziłoby moje podejrzenia. Ustawiając się do kolejnego zdjęcia („Ten przeklęty aparat! Po co go brałem, przecież chcę tylko oglądać!” – klnę pod nosem) opieram się o słup, by zminimalizować wstrząsy – i drżenie rąk z nadmiaru emocji – przy naciskaniu migawki. W jednej chwili zaczynam rozumieć, skąd pochodzą słyszane cały czas odgłosy. To przewody wibrujące pod wpływem „przedzaćmieniowego” wiatru przenoszą drgania poprzez martwą tkankę drewnianego słupa wprost do mojego ucha. Odwracam się do tyłu, szukając nadchodzącego z zachodu księżycowego cienia. Niestety, chmury uniemożliwiają mi jego dostrzeżenie, chociaż niebo jest tam jakby ciemniejsze; nie widzę także „latających cieni”, które przy bezchmurnej pogodzie powinny być doskonale widoczne na ziemi.

Całą uwagę skupiam zatem na tym, co dzieje się na niebie. Czekam na to, co nieuniknione. Czuję, jak cały się trzęsę. To niesamowite uczucie, pierwotna, dziwna bojaźń; w dobie „szkiełka i oka” i społeczeństw technicznych wydaje się być czymś nie na miejscu. Przypominają mi się twarze praludzi namalowane na gitarze w schronisku w górach Drakensberg kilka dni wcześniej. To już moje trzecie całkowite zaćmienie, a wciąż czuję się tak, jakbym widział je pierwszy raz i nie do końca rozumiał jego przyczyny.

Mrok zapada w ciągu sekund, dosłownie wypełza z każdej szpary, spod każdego kamienia. Chmury przewalają się przed zaćmionym Słońcem, ale wciąż widzę maleńki fragment jego jasnej tarczy. Patrzę jak zahipnotyzowany; na prawym brzegu błyska diament – ostatni widoczny kawałek fotosfery. Teraz, już. . .

. . . korona. Czerwone protuberancje wykwitające z „czarnego Słońca”. Nie wysłowione piękno. Słowa, których nigdy nie wypowiem. Przytulam się do „grającego słupa”, chcąc słyszeć jego muzykę. Niesamowite chóry, potępieńcze jęki i zawrota wypełniają mój umysł, w połączeniu z widokiem korony ograniczonej chmurami wywołując doznania będące poza wszelkim opisem. Na chwilę muszę przymknąć oczy. Świadomość bezpośredniego udziału w kosmicznym przedstawieniu wręcz ścina z nóg. Nie jestem li tylko widzem – ponownie dane mi jest zagrać w nim rolę aktora, a właściwie marnego statysty w porównaniu z rolami odgrywanymi przez Słońce, Księżyc i Ziemię. Gwiazda Dzienna, Srebrny Glob i Błękitna Planeta ustawiły się na moment na wspólnej linii, a ja mam szczęście być w odpowiedniej chwili na właściwym miejscu. Trudno mi o tym mówić. . .

Nie wiem jak i kiedy trzęsące się ręce robią parę zdjęć. Horyzont wokół mnie świeci pomarańczowo, z wielkiego placu kilkaset metrów dalej słychać nieustanny krzyk rozentuzjasmowanego tłumu. Dzięki chmurom jest ciemno, ciemniej niż w Zambii, choć tam Słońce było skryte głębiej za tarczą Księżyca. Drogą wędrują czarnoskóre kobiety, zupełnie nie zwracając uwagi na spektakl rozgrywający się na nieboskłonie; przejeżdżające z trąbieniem pick-upy wypełnione młodymi ludźmi nie zatrzymują się nawet na chwilę, tak jakby Natura odtwarzała dla nich tę samą scenę tak często, że już się nią znudzili. Przechodzi im koło nosa jedyna w ich życiu okazja, by obejrzeć to, co właśnie się kończy. . .

Osiemdziesiąt cztery sekundy. Prawa mechaniki nieba są nieubłagane. Tyle trwa zaćmienie całkowite w miejscu, z którego je obserwujemy. Byłem na to przy-

gotowany i nie jestem zdziwiony tak bardzo, jak półtora roku wcześniej, że nagle robi się jasno. O takim dniu, w którym wcześniej rano widoczne było całkowite zaćmienie Słońca, mówiono dawniej: „dzień, który zaczął się dwa razy”. Gdzieś w środku pozostaje cichy żal, że już po wszystkim i trzeba wracać do rzeczywistości...

Ostatnie zdjęcia otoczenia i wracam do swoich. Aparat jednak nie daje się oszukać tak łatwo jak oko, któremu wydaje się, że już jest zupełnie jasno – zdjęcie jest poruszone. A przecież minutę po zaćmieniu dociera do nas ze Słońca tyle samo światła, ile minutę przed zaćmieniem, prawda? I jeśli tuż po fazie całkowitej wydaje mi się, że jest już zupełnie jasno, to jest to oczywiście wrażenie mylne. Oko po prostu łatwiej adaptuje się do zmniejszającej się łagodnie ilości światła, niż po przejściu z ciemności do jasności, nawet stosunkowo niewielkiej.

Wiele osób pakuje się i odjeżdża. Idziemy w ich ślady, mimo iż zaćmienie częściowe jeszcze trwa. Początkowo kierujemy się z powrotem na wschód, do Punda Gate, ale po pół godzinie jazdy i dyskusji zwracamy w stronę Messiny. Znowu mijamy rzędy samochodów, przekraczamy linię centralną, setki ludzi patrzących w niebo... Zaczyna padać deszcz.

Zatrzymujemy się na najbliższej stacji benzynowej, przy której rośnie wspaniała palma. Na szczęście nie musimy tankować, gdyż kolejka do dystrybutorów przypomina mi pamiętane z okresu, gdy w Polsce paliwo sprzedawano na kartki. Na moment zaglądam do bagażnika i ku mojemu zdumieniu zauważam „pasażera na gapę” – ogromnego owada o doskonale przezroczystych skrzydłach, który nie chce się ruszyć pomimo energicznych szturchnięć. W końcu zrywa się do lotu, bzyząc niczym ciężki śmigłowiec.

Trzydzieści kilometrów za Tshipise skręcamy na południe, wjeżdżając na potwornie zatłoczoną autostradę N1. Do trwającego na niej remontu i wielu związanych z tym utrudnień dorzuca swoje „trzy grosze” wielokilometrowy korek pojazdów, których właściciele wracają z obserwacji zaćmienia do domów. Posuwamy się z prawdziwie żółwią prędkością, prowadzenie samochodu w takich warunkach jest niezwykle męczące, wymaga stałej uwagi. Z tej przyczyny mam ograniczoną możliwość podziwiania widoków za oknem – pokonujemy właśnie pasmo Soutpansberg. Przełęcz, zakręty i tunele przebijające lesiste góry stanowią ciekawe urozmaicenie jednostajnego krajobrazu sawanny i buszu, otaczających nas w ostatnich dwóch dniach.

U podnóża gór rozłożyło się miasto Louis Trichardt, przez które przejeżdżamy stosunkowo sprawnie. Stąd już tylko nieco ponad sto kilometrów do Pietersburga, gdzie mamy zamiar zatrzymać się na noc. Pietersburg, znany także pod podwójną nazwą Pietersburg/Polokwane, to młody w porównaniu z większością polskich miast ośrodek, pełniący rolę stolicy Prowincji Północnej – jednego z „województw” Republiki Południowej Afryki. Prowincja Północna jest zagłębiem, w którym wydziera się Ziemi wiele strategicznych surowców mineralnych. Złoża kilku z nich są największe na świecie. Obok złota i węgla kamiennego wydobywa się m.in. rudy berylu, antymonu, żelaza i platyny. Kopalnie rud miedzi ulokowane są w pobliżu Phalaborwa, przez którą wjeżdżaliśmy do parku Krugera. Pietersburg może się ponadto poszczycić najmniejszą przestępczością spośród wszystkich stolic prowincji RPA.

Na południe od miasta założono rezerwat przyrody – Pietersburg Nature Reserve, będący domem dla wielu gatunków zwierząt, między innymi zebra, żyraf i białych nosorożców. Tam właśnie się kierujemy po dokonaniu zakupów w centrum miasta. Na parkingu czarnoskóry mężczyzna zwraca moją uwagę na tylną prawą oponę, z której niemal całkowicie uszło powietrze. To pierwsza – i zarazem ostatnia – awaria naszego dzielnego Nissana. Uszkodzenie nastąpiło prawdopodobnie podczas rajdu z parku Krugera do miejsca, z którego oglądaliśmy zaćmienie. Na najbliższej stacji benzynowej pompuję koło, wymianę zostawiając na wolną chwilę w rezerwacie, do którego tymczasem dojeżdżamy.

Wynajmujemy okrągłą chatę, pretendującą do miana rondaweli, wyposażoną w łazienkę, aneks kuchenny i przewidzianą dla czterech osób. Warunki są znośne, nie narzekam na stłuczone kafelki czy brakujący prysznic... Zmęczony dniem pełnym wrażeń i męczącą podróżą wiozę jeszcze Toma i Qeda do miasta po piwo, którego znalezienie okazuje się być nadspodziewanie trudne i natychmiast po powrocie do rezerwatu zasypiam.

Rozdział 15

Zwrotnik Kozioróżca, równik, zwrotnik Raka...

Wstaję wcześnie rano. Po kąpieli i śniadaniu zmieniam koło, które w ciągu nocy wyraźnie sflaczało, a potem uzupełniam notatki w dzienniku podróży, czekając, aż chłopaki przygotowują się do wyjazdu. Pietersburg opuszczamy około dziewiątej rano. Dzisiaj mamy do pokonania prawie trzysta kilometrów – tyle właśnie dzieli nas od administracyjnej stolicy RPA, Pretorii.

Nie musimy się spieszyć. Zjeżdżamy z autostrady N1, by w spokoju kontemlować trzecie już w tej podróży przekroczenie zwrotnika Kozioróżca – pierwsze nastąpiło na pokładzie samolotu, drugie w Parku Narodowym imienia Krugera.

Droga jest szeroka i wygodna, co kilkadziesiąt kilometrów przerywana bramkami pobierającymi opłaty za przejazd. Kilkaset metrów za jedną z nich zatrzymuje nas policja. To druga rutynowa kontrola, jakiej zostajemy poddani w RPA. Kończy się na sprawdzeniu prawa jazdy i dokumentów potwierdzających wypożyczenie samochodu w agencji.

Jedziemy ze średnią prędkością ponad 100 km/h, włączając w to półgodzinny postój na zwrotniku Kozioróżca. Do Pretorii docieramy około południa. W centrum miasta zaopatrujemy się w wiktuały na wieczór i jutrzejszy ranek. W Mazuri Backpackers Lodge wynajmujemy pokój i po uzyskaniu od przyjaznego właściciela wskazówek pozwalających na dotarcie do najbliższej myjni zostawiamy Fachowego, we trójkę jadąc we wskazane miejsce.

Trafiamy bez większych kłopotów. Na szczęście myjnia, w jakiej jesteśmy, obsługiwana jest ręcznie. Sprzęt wygląda na profesjonalny, trzech mężczyźni nie mają akurat klientów. Zlecam kompleksowe mycie poczynając od karoserii, poprzez odkurzanie, na woskowaniu plastikowych elementów wewnątrz kabiny koń-

cząc. Nasza Almera wygląda bowiem jak prawdziwy weteran szos: biały lakier zszarzał, na podłodze i siedzeniach tony piasku, pod kloszem lampki dziesiątki owadów, drzwi skrzypią od czerwonego pyłu, który widać we wszystkich możliwych zakamarkach. Takie mycie musi potrwać – pracownik obiecuje, że za półtorej godziny wszystko będzie gotowe. Postanawiamy zatem skorzystać z wolnego czasu i poszukać sklepów. Kilkaset metrów przed myjnią zauważyliśmy średniej wielkości centrum handlowe. Przechadzamy się po nim, wydając resztki posiadanych randów. Kręci się tutaj mnóstwo białych, czuję się zupełnie inaczej niż na prowincji. Atmosfera stolicy jest wyczuwalna niemal fizycznie. Pozwalamy sobie na małe piwko w niewielkiej restauracji, obdarzając młodego kelnera stosem monet, których chcemy się pozbyć. Przechadzamy się też chodnikiem wzdłuż ruchliwej ulicy, przyglądając się domom ukrytym za wysokimi murami, często strzeżonymi przez psy, otoczone ogrodami z pięknymi kwiatami.

O umówionej godzinie stawiamy się w myjni. Pracownicy właśnie dopieszczają naszego Nissana. Prawie go nie poznajemy; aż strach wsiąść, by znowu go nie zanieczyścić. Wspólna kasa jest już na wyczerpaniu, ale wystarcza jej jeszcze na naprawę uszkodzonego koła na sąsiadującej z centrum handlowym stacji paliw. W czasie, gdy pracownik stacji zajmuje się naprawą, my robimy zakupy. Fachowy ma dziś urodziny i polecił Qedowi kupić kilka butelek „Castle” na wieczór. Ja do Polski zabiorę *biltong* – płaty suszonego mięsa, które tak bardzo mi zasmakowało.

Po powrocie do Mazuri Backpackers Lodge zabieramy się do konsumpcji pseudoobiadu. Krótco po nim rozsiadamy się w wygodnych kanapach we wnętrzu otwartego na oścież garażu zamienionego w czytelnię i rozpoczynamy świętowanie urodzin Maćka – i naszego ostatniego wieczoru na Czarnym Łądzie podczas tego pobytu. Wiernie sekunduje nam w tym sympatyczna suka owczarka niemieckiego, wyraźnie szczęśliwa, że ktoś chce się z nią bawić. Niezmordowanie biega za rzucaną jej piłką tenisową.

Gdy kończy się piwo, zamykamy nasz teatrzyk. Jutro ostatni akord pobytu – podróż do Jo’burga.

Rozdział 16

... czyli „dziś Pretoria, jutro Zgorzelec”

Pretorię opuszczamy krótko po dziewiątej rano. Dzisiaj w Polsce dzieci dostają prezenty od Świętego Mikołaja, który o nas jakoś zapomniał. Z Pretorii do Johannesburga jest zaledwie czterdzieści minut jazdy autostradą. Łapie nas przelotny deszcz. Do miasta dojeżdżamy na tyle wcześnie, że udaje nam się skoczyć do centrum na frytki i kurczaka. Później kierujemy się na lotnisko.

Na podziemnym parkingu przeznaczonym specjalnie dla agencji wynajmu samochodów stawiamy naszego Nissana, opróżniając go z naszych plecaków, karamiat i mnóstwa drobiazgów. Gdy patrzymy na złożone na wózku bagażowym rzeczy, trudno nam uwierzyć, że to wszystko zmieściło się do samochodu. . .

Dłuższą chwilę trwa załatwianie formalności w siedzibie „Hertza”. Jako kierowca zobowiązany jestem asystować pracownikowi agencji przy kontroli stanu technicznego samochodu. Przebiega ona błyskawicznie i bez najmniejszych zastrzeżeń.

Do odlotu pozostało nam ponad dziesięć godzin, które prawie w całości spędzamy na poziomie widokowym, śledząc starty i lądowania oraz bieżącą obsługę skrzydlatych maszyn stojących tuż pod oknami. W holu wiszą zdjęcia pracujących dzieci z Soweto – getta, w którym w okresie *apartheidu* zamieszkiwała czarna ludność okolic Jo’burga.

Około dziewiętnastej ustawiamy się w długiej kolejce do odprawy bagażowo – celnej. Już po przejściu przez bramki kontrolne zaczepia mnie młoda dziewczyna, pracująca dla rządowego Biura Turystyki. Z jej pomocą wypełniam kilkustronicową ankietę mającą na celu zdobycie mojej opinii na temat RPA, a później szybko zmierzam do samolotu.

Maszyna rozpedza się na betonowym pasie i odrywa od ziemi. Ostatni rzut oka na rozświetlony i błyszczący od padającego od kilku godzin deszczu Johan-

nesburg, a później już tylko usypiający pomruk silników. Zapadamy w sen. . .

Przesypiamy całą Afrykę, oba zwrotniki i równik. Budzę się dopiero nad górami Atlas, wnioskuje z wskazań wyświetlanej na bieżąco mapy. Tym razem dostaliśmy niestety miejsca pośrodku kadłuba i nie możemy śledzić przez okna Ziemi pod nami.

W Madrycie lądujemy półtorej godziny przed wschodem Słońca. Niebo jest pogodne, nad jaśniejącym już nieśmiało południowo-wschodnim horyzontem niezwykłym blaskiem lśni Wenus. Wpół do dziesiątej Airbus A320 podrywa się do lotu. Nad Europą lecimy w pełnym świetle dnia. Sporo miejsc z tyłu kabiny jest pustych, rozsiadamy się przy oknach. Fachowy dostrzega na chmurach ciekawe zjawisko – kręgi w kolorach tęczy, wywołane załamaniem światła na kadłubie samolotu.

Trzy godziny po starcie ze stolicy Hiszpanii lądujemy w stolicy naszego zachodniego sąsiada – Berlinie. Nasze bagaże jako pierwsze pojawiają się na taśmociągu. Błyskawicznie przebieramy się w toaletach, wyciągając cieplejsze ubrania – tutaj jest przecież chłodna jesień, na zewnątrz pada i wieje. W ostatniej chwili wbiegamy do autobusu jadącego do dworca ZOO. Wpadamy na niego zaledwie kilka minut przed odjazdem pociągu do Cottbus. Tłumy ludzi nie ułatwiają nam kupna biletu. Przypadek sprawia, że zaczepia mnie mężczyzna około pięćdziesiątki, proponując sprzedaż niepotrzebnego mu już, a wciąż ważnego biletu Wochenende Ticket. Nie namyślając się długo wręczam mu 20 euro i natychmiast biegniemy na peron – mamy niespełna minutę do odjazdu pociągu. Na nasze szczęście spóźnia się on o trzy minuty (w Polsce takie „spóźnienie” uważa się za „przyjazd o czasie”) i spokojnie wsiadamy.

W Cottbus kupujemy świeży chleb – wcześniej nie mieliśmy okazji nic zjeść, poza przekąską podaną na pokładzie samolotu – i wsiadamy do następnego pociągu, jadącego w kierunku Görlitz. Leżący na polach śnieg i zamrażająca na polach woda dobitnie uświadamiają nam, że zima za pasem. Dziwne to uczucie po tylu dniach spędzonych w tropikach. . .

Przez Görlitz maszerujemy w towarzystwie Ukraińca, który aż spod Rostocku wraca z „raboty” do swoich, w okolicy Odessy. Nie zazdrościmy mu – jeszcze tyle godzin w podróży. . . Pogoda jest typowo jesienna, z przenikającym do szpiku kości wiatrem, bezlitośnie wzmagającym uczucie chłodu. Szybko przekraczamy przejście graniczne i już jesteśmy w Zgorzelcu. Polska wita nas typowym dla

naszego kraju bałaganem i brudnymi ulicami.

Energicznie idziemy znajomymi ulicami, od czasu do czasu zasięgając języka u przechodniów. Na parkingu przed stacją kolejową jacyś młodzieńcy popisują się umiejętnościami zarzynania wystużonego Poloneza. Sama stacja, zamiast zachęcać do podróży, po prostu straszy: zamknięte na głucho drzwi bronią dostępu do budynku, który przypomina raczej lotniczy hangar, powybijane szyby, ściany pomazane farbami, cuchnące moczem cieniste zakamarki, w których przesiaduje kwiat miejscowej młodzieży... Nie, zdecydowanie nie tęsknię do takiej Polski.

Gdy z trudem wchodzimy na peron, słyszymy zapowiedź jakiegoś pociągu. Nie rozumiem ani jednego słowa, ale widząc ludzi stojących na nieoświetlonym peronie, z którego odjeżdżają pociągi do Legnicy i Wrocławia domyślam się, że zdążyliśmy w ostatniej chwili.

Z narażeniem życia przechodzimy przez tory wiedząc, że nie zdążylibyśmy wrócić na schody i przebiec kładką na właściwy peron. Dopiero po wejściu do pociągu i zajęciu miejsc w przedziale pytamy nielicznych pasażerów, dokąd jedzie nasz pociąg. „Do Wrocławia” – brzmi uspokajająca odpowiedź. Jeszcze raz się udało...

We Wrocławiu udajemy się do dworcowej knajpy na ostatnie wspólne piwo: za godzinę Tom odjedzie do Katowic, ja do Świebodzic, a Fachowy i Qed pojedą do swoich wrocławskich mieszkań.

I w taki oto prozaiczny sposób kończy się nasza wspólna przygoda – wyprawa po księżycowy cień.